
Marion Lennox

Oświadczenia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czy można zapukać do bramy średniowiecznego zamku? I skąd się wzięła taka budowla w rybackim miasteczku w Australii?!

Kirsty McMahon dokuczało zmęczenie oraz zacinający deszcz. Drzwi wyglądały tak solidnie, że dałoby się je sforsować chyba tylko taranem, tym bardziej że urządzenie wyglądające na domofon nie reagowało. Zwyczajne pukanie wydało się jej groteskowe, więc natarła na grube deski pięściami.

Po co tu przyjechały? Susie, jej siostra bliźniaczka, narzeka, że jej niewygodnie. Wróć do Dolphin Bay, poszukają jakiegoś hotelu i jutro po raz drugi spróbują szczęścia. Jeśli uda się przekonać Susie.

Z drugiej strony dobiegło ją ujadanie psa. Ktoś idzie otworzyć?

Ciężkie drzwi w potężnej bramie nieco się uchyliły, a w szparze ukazał się psi łeb. Czyjaś ręka trzymała go za obrożę. Męska ręka.

Kirsty cofnęła się o krok. Atmosfera jak z powieści romantycznej, pomyślała, omiatając wzrokiem z jednej strony skaliste urwisko schodzące do oceanu, z drugiej łańcuch górski w różowym blasku zachodzącego słońca. W tej scenerii powinni powitać ją rycerze zakuci w zbroje w asyście sfory psów myśliwskich. Boris, nie skacz, bo dostaniesz po łbie!

Zamrugła powiekami. Tak nie przemawiają wrogo nastawieni wojownicy. Głos nieznanego wydał się jej całkiem... sympatyczny.

Gdy w końcu drzwi otwarły się na oścież, stwierdziła, że określenie „sympatyczny” to zdecydowanie za mało.

Ten rycerz był cudowny. Miał blisko dwa metry wzrostu i trzydzieści parę lat. Okazał się szatynem w swetrze z grubymi splotami, spłowiałych dżinsach oraz wysokich butach. Ciemne włosy opadały mu na twarz. Kirsty bardzo podobali się mężczyźni, którzy nie przywiązywali większej wagi do uczesania.

Jej mężczyźni? Robert? Bez trudu skupiła uwagę na nieznanym.

Czy po to stoi pod kiczowatym zamkiem w Australii, by podziwiać urodę jakiegoś faceta?! Przez całe życie walczy o to, żeby nic nie

wymknęło się jej spod kontroli, więc tym bardziej teraz, kiedy wszystko się wali, nie wolno jej prowokować komplikacji nieodmiennie związanych z mężczyzną! W Stanach spotyka się z Robertem, który będzie grzeczny tak długo, jak ona zechce, bo to zależy wyłącznie od niej. Jej dożywotnim partnerem jest medycyna.

Ale ten rycerz jest taki niesamowity...

- Dzień dobry - wyjąkała.

Gdy nieznajomy odciągał psa, za jego plecami ujrzała zamkowy dziedziniec. To dlatego tak długo nikt nie otwierał bramy! Bo ta ściana to zewnętrzny mur obronny.

Niemal z otwartymi ustami podziwiała wykusze, wieżyczki i kolumnienki z białego kamienia. Zamek rodem z bajki. Jeśli domofon nie działa, to cud, że ktoś ją usłyszał.

Przestań się tak gapić!

- Pani w jakiej sprawie? Pospiesznie zbierała myśli.

- Moja siostra i ja przyjechałyśmy do Ang... do hrabiego Douglasa.

- Przykro mi, ale pan hrabia nikogo nie przyjmuje padła pospieszna odpowiedź. Mężczyzna już zamykał drzwi.

Kirsty wysunęła stopę. Błąd. Takich wrót nie da się zablokować damskim butem.

Zasyczała z bólu, a mężczyzna natychmiast uchylił drzwi.

- Przygniotłem pani nogę?

- Tak.

- Nie trzeba było jej tam wsadzać.

Chciał mi pan zatrzaskać drzwi przed nosem! Westchnął. Oboje opuścili wzrok na jej stopę, jakby spodziewali się, że ta część jej ciała zrobi coś interesującego, ale dzięki Bogu, osłaniał ją porządny adidas. Przepraszam. - Powiedział to niskim, dźwięcznym głosem, w którym brzmiała nuta... zatroskania. Ten ton poruszył w niej struny, o których istnieniu dawno zapomniała. Chyba jestem bardzo zmęczona.

Zatroskanie? To przecież moja domena.

- Pan hrabia nie przyjmuje gości - powtórzył. - Ani turystów.

- Nie jesteśmy turystami. - Wskazała na samochód. - Przyjechałam z siostrą.

- Ze Stanów. - Rozpoznał ją po amerykańskim akcencie.

- Trafił pan w dziesiątkę. Ale nie jesteśmy turystkami.
- Mimo to pan hrabia pań nie przyjmie.
- Należymy do rodziny. Twarz nieznanego stężała.
- Słucham?
- Należymy do rodziny Angusa. Przyjechałyśmy aż ze Stanów, żeby się z nim zobaczyć.

Milczał. Myliła się, przyjmując wcześniej, że mężczyzna z psem ma oczy, w których zawsze igra uśmiech. Teraz był śmiertelnie poważny. Zimny, wyniosły i bardzo zły.

- Za wcześnie panie się zjawiają. - Odciągnął psa za siebie, jakby się bał, że zwierzak czymś się od niej zarazi. - Spodziewałem się rychłego nalotu sępów i oto są. Angus nadal jest wśród żywych. - Zatrzasnął drzwi.

Dziesięć minut później w dalszym ciągu nie wiedziały, co robić.

- Przynajmniej mamy pewność, że trafiłyśmy pod właściwy adres - stwierdziła Kirsty, opowiedziawszy siostrze o rozmowie pod bramą. - Kim jest ten jego stróż? Synem?

- O ile wiem, Angus nie miał dzieci. - Susie poprawiła się w fotelu, co nie jest sprawą łatwą w ósmym miesiącu ciąży. Siostra Kirsty przez cały czas siedziała w samochodzie. Uznała, że nie ma sensu wysiadać.

Dla niej nic nie ma sensu, pomyślała ze smutkiem Kirsty. Ten stan pogłębia się z dnia na dzień. Depresja obezwładnia. I przeraża.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Susie, nie zdradzając najmniejszego zainteresowania odpowiedzią.

Jak zwykle przerzuciła ciężar odpowiedzialności na siostrę. Co robić? Wrócić do miasteczka i spróbować następnego dnia? Zaanonsować się przez telefon? Należało zrobić to wcześniej, ale nie była pewna, czy tu dotrą.

Popatrzywszy na zmęczoną twarz siostry, uznała, że ma tylko jedno wyjście.

Ta wyprawa nie była dobrym pomysłem, mimo że z perspektywy Nowego Jorku wyglądało to całkiem sensownie. Minione miesiące były dla Susie koszmarem, więc Kirsty robiła wszystko, co w jej mocy, by wyrwać ją ze szponów depresji graniczącej z manią samobójczą.

Dwa lata wcześniej Susie poślubiła Rory'ego Douglasa,

Australijczyka szkockiego pochodzenia, który straciwszy głowę dla Susie, uznał, że osiadzie w Ameryce. Gdy pół roku temu Susie zaszła w ciążę, oboje byli wniebowzięci.

Wkrótce potem Rory zginął w wypadku drogowym. Susie odniosła poważne obrażenia, ale najbardziej ucierpiała jej psychika.

Nie pomogli psychiatrzy. Nic nie pomagało. Może wyprawiłybyśmy się do Australii? - zaproponowała pewnego dnia Kirsty, czepiając się różnych pomysłów. - Tak mało wiesz o rodzinie Rory'ego. Tylko tyle, że jego rodzice nie żyją i że z bratem nie utrzymywał żadnych stosunków. Mogłybyśmy pojechać tam, gdzie się urodził. Do Dolphin May. Czy tam są delfiny? To gdzieś na południe od Sydney. Może tam być bardzo ciekawie. Wezmę urlop. Daj dziecku urodzić się tam, skąd pochodzi jego tatuś.

Całkiem rozsądna perspektywa. Susie wprawdzie była w zaawansowanej ciąży i z powodu urazu kręgosłupa nadal poruszała się na wózku, ale przecież jej siostra jest lekarzem. Zajmie się nią. Jako żona Australijczyka Susie jest objęta ubezpieczeniem zdrowotnym w Australii. Linie lotnicze odmawiają przewożenia ciężarnych po siódmym miesiącu ciąży, więc była to ostatnia chwila na taką eskapadę. Nic nie stało na przeszkodzie, by Susie urodziła w Australii.

Lecz Susie od samego początku była apatyczna. I od samego początku nie obyło się bez poważnych problemów. Ledwie wylądowały w Sydney, pojawiły się wczesne objawy porodu. Susie, zmuszona do bezczynności przez cztery tygodnie, pogrążała się w coraz większej depresji.

Na szczęście ciążę udało się podtrzymać. Kirsty uznała, że nie ma zagrożenia, jeśli dziecko postanowi przyjść na świat dwa tygodnie przed terminem. W końcu wyruszyły do celu wyprawy, dzieląc podróż na krótkie etapy i zwiedzając po drodze atrakcje turystyczne.

Lecz apatia Susie nie ustępowała.

- Dlaczego Rory mi nie powiedział, że jego stryj jest arystokratą? - szepnęła Susie, spoglądając na mury zamczyska. - On tu mieszka? Gdybym wiedziała, że to tak wygląda, w ogóle bym nie przyjeżdżała.

To prawda, Kirsty też była wstrząśnięta. Zajechawszy do Dolphin Bay w południe, zaszły na pocztę, by zdobyć dokładny adres stryja Rory'ego.

- Angus Douglas? Chodzi pani o pana hrabiego?
- Angus Douglas jest hrabią?! - zdumiała się Kirsty.

Urzędniczka oparła tłuste ramiona na ladzie, gotowa służyć obszerną informacją.

- A jakże. Nasz Angus jest panem na włościach Loganaich, tyle że one już dawno przepadły.

- Loganaich - powtórzyła tępo Kirsty, co tylko zachęciło kobietę do dalszych wyjaśnień.

- Podobno zamek w Szkocji spłonął doszczętnie. Hrabia twierdzi, że nie ma czego żałować, bo strasznie lam wiało. On nie jest sentymentalny. Przywiązany jest tylko do kultu. Szkoda, że go panie nie widziały w szkockiej spódnicy... Hrabia i jego bracia opuścili Szkocję, kiedy mieli po kilkanaście lat. Dwóch z nich wyemigrowało do Australii.

- Proszę nam o nich opowiedzieć coś więcej - poprosiła nieśmiało Kirsty.

- Podczas wojny hrabia ożenił się z pielęgniarką. Kobieta wskazała na tablicę ogłoszeń, gdzie wisiało zdjęcie starszej pani. - To jest Deirdre. Niech spoczywa w pokoju. Zaczna, bardzo zacna kobieta. - Urzędniczka pociągnęła nosem.

- Mieli dzieci?

- Nie, ale byli bardzo szczęśliwym małżeństwem. Kiedy dwa lata temu Deirdre zmarła, hrabia był załamany. Wszystkim nam serce pękało. Na stare lata został sam jak palec. Doktor mówi, że jest z nim niedobrze. Doktor robi, co w jego mocy, ale ile może jeden lekarz?

Powiedziała pani, hrabia miał braci... Kobieta się skrzywiła.

Ten brat, którego poznaliśmy, był... narwany i ożenił się z jeszcze większą wariatką. Mieli dwóch synów, Rory'ego i Kennetha. Chłopcy urodzili się tutaj, ale wkrótce potem ich rodzice się wyprowadzili, Chłopcy przyjeżdżali na wakacje do stryja. Po odrobinę spokoju. Hrabia i jego żona za nimi przepadali. Kenneth jednak odziedziczył parszywy charakter po ojcu i nieustannie gnębił Rory'ego, aż Rory uciekł od niego aż do Ameryki. Niedługo potem Rory zginął w wypadku. Hrabia bardzo to przeżył. Kenneth czasami tu zagląda, ale miejscowi go nie lubią. - Zacisnęła wargi. - Po śmierci Angusa na pewno nie będziemy tytułować

go hrabią Kennethem. Można tak nazywać kogoś, kto jest kochany... jak Angus, ale nie Kennetha.

- Popatrzyła ze współczuciem na wózek Susie. - Los bywa przewrotny. On się bardzo gniewa, kiedy tak się do niego zwracamy, twierdzi, że jemu wystarczy sam „Angus”. Ale nam to odpowiada. W sytuacjach bardziej oficjalnych nazywamy go hrabią Douglasem. Musicie zobaczyć jego dom. Nazywamy go żartobliwie zamkiem Loganaich. Narysuję wam, jak tam dojechać.

Już wtedy Susie chciała wracać do Stanów, a teraz, siedząc w samochodzie pod imponującym zamczyskiem z białego kamienia, patrzyła na siostrę ze złowróżbną pustką w oczach.

- Kirsty, co my tu robimy? - powiedziała cicho.
- Wracajmy do Stanów. To był bardzo głupi pomysł.
- Susie, nie możemy lecieć do Stanów, bo z takim brzuchem nie wpuszczą cię do żadnego samolotu. Poszukamy teraz jakiegoś hotelu, a jutro spróbujemy drugi raz.

- Jedźmy rano do Sydney.
- Nie, Susie. Nie wolno ci zerwać wszystkich więzi z Rorym.
- Już i tak zostały zerwane. Poza tym słyszałaś od tej kobiety na poczcie, że Rory nie odwiedzał stryja.

- Rory zawsze ciepło wspominał Angusa i jego żonę. Podobno stryj bardzo przeżył śmierć Rory'ego. Musisz go poznać.

- Nie.
- Susie, proszę.
- Znowu ktoś otwiera bramę - zauważyła Susie obojętnym tonem. - Ktoś wyjeżdża. Musimy się przesunąć.

Z dziedzińca na brukowany podjazd wychynął zakurzony land-rover. Musiał chwilę poczekać, aż Kirsty odjedzie.

Brama zamknęła się za land-roverem bezszelestnie.

Warownia znowu stała się niedostępna. Trudno, odjadą. Kirsty włączyła silnik i po raz ostatni zerknęła na kierowcę. Był to ten sam mężczyzna, który wcześniej zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Obok niego siedział pies. Jego głupkowaty, uśmiechnięty pysk ostro kontrastował ze zniecierpliwieniem malującym się na twarzy właściciela. Facet bębnił palcami w kierownicę.

Mało powiedziec zniecierpliwiony, wściekły!

Nie on jeden potrafi być zły! Kirsty spojrzała na siostrę. Jutro Susie nie da się namówić, żeby jeszcze raz tu przyjechać, pomyślała.

Gdzie się podziała ta roześmiana, radosna Susie sprzed roku? Kirsty czuła, jak jej złość potęguje się z sekundy na sekundę. Wyłączyła silnik i wyskoczyła z auta. Prosto do kałuży.

Jak on śmie tak bębnić?! Przyczyną jej wściekłości był nie tylko ten gest wyrażający irytację, a w głównej mierze skumulowane emocje, które szukały ujścia.

Energicznym ruchem szarpnęła klamkę land-rovera. Niech pan wysiada. Domagam się odpowiedzi na parę pytań. I to zaraz!

Doktor Jake Cameron już od dwóch godzin powinien być w domu. Przez cały dzień zajmował się chorymi, więc choć parę wieczornych godzin chciał spędzić z dziewczynkami. Przez tę nachalną kobietę po raz kolejny położy je spać Margie Boyce, a nie on. Pani Boyce nie będzie zachwycona, a on znowu nie zdąży poczytać im na dobranoc.

Komu potrzebne takie czytanie? Jemu czy bliźniaczkom?

Odpowiedź jest oczywista.

- Po co komu bajki? - rzucił pod adresem psa Borisa, patrząc na zbliżające się do niego to uosobienie furii. - Może wiesz, czy wróżki potrafią kogoś teleportować?

Żadna wróżka nie przyfrunęła mu na pomoc, więc zrezygnowany siedział w samochodzie.

- Czego chce się pani dowiedzieć? - Wsiadł, by stanąć oko w oko z tym kipiącym wulkanem. Twierdzi, że jest krewną Angusa, ale on nigdy jej nie widział. Kim ona jest?

Na pewno by ją zapamiętał. Była drobnej budowy, miała piwne oczy i ciemnorude włosy. Dobiała trzydziestki? Pomimo turystycznego stroju była nadzwyczaj atrakcyjna.

Ten obraz psuł jej but, cały unurzany w błocie. To ta sama stopa, którą przytrzasnąłem, pomyślał, czując lekkie wyrzuty sumienia.

- Siostra i ja przyjechałyśmy tu z Nowego Jorku żeby odwiedzić pana... hrabiego Douglasa - wyrzuciła z siebie. - Musimy zobaczyć się z hrabią.

- To znaczy z Angusem. - Tytułował go hrabia tylko po to, żeby się

ich pozbyć. Nie udało mu się, więc teraz może nazywać go Angusem. Angusem, swoim znajomym.

Co więcej mogę dla niego zrobić? Angus potrzebuje tlenu, całodobowej opieki pielęgniarskiej, bo jeśli tego nie dostanie...

- Moja siostra jest chora. Też mi nowina.
- Nikt nie jest całkiem zdrowy. I to wszystko jest na mojej głowie.

Przed kolacją mam jeszcze trzy wizyty domowe.

- Pan jest lekarzem?
- Tak. - Westchnął. - Jake Cameron, lekarz Angusa.
- Nie wygląda pan na lekarza.
- Powinienem być w białym fartuchu i ze słuchawkami na szyi?

Godzinę temu przeganiałem krowy, które blokowały dojazd do pacjenta. To nie jest kraina białych fartuchów.

- Myślałam, że jest pan jego krewnym.
- To znaczy, że niewiele pani wie o jego rodzinie zauważył sucho. -

Czy pani siostra potrzebuje opieki lekarskiej?

- Nie, ale...

Więc proszę odblokować podjazd. Jestem już spóźniony dwie godziny, a pani dodatkowo mnie zatrzymuje.

Nie słuchała go.

Z kim możemy tu porozmawiać?

Angus jest teraz sam.

W takim ogromnym zamczysku?

Przyzwyczał się. Ale jeśli to panią interesuje, wkrótce opuści te mury. Jutro przeprowadza się do domu spokojnej starości. Tam będzie łatwiej go odwiedzać, nie sądzi pani? A jeżeli zamierza pani nakłonić go, by zmienił zapis w testamencie, to szkoda pani czasu. Jeśli zjawi się pani z adwokatem, od razu wezwie policję.

Szacowała go wzrokiem.

- Dlaczego jest pan taki nieprzyjemny?
- Nie jestem nieprzyjemny bardziej niż to konieczne. Angus ma dosyć nacisków rodziny, a ja się spieszę.
- Więc niech mi pan uprzejmie wyjaśni, dlaczego nie mogę odwiedzić hrabiego Douglasa.

Westchnął. Sami natręci w tej rodzinie.

- Angus ma problemy z oddychaniem. Poza tym udał się już na wieczorny spoczynek, więc jeśli pani myśli, że pofatyguje się na dół dla żadnych pieniędzy...

- Problem w tym - przerwała mu, niemal trzęsąc się ze złości - że traktuje nas pan jak śmieci. A my go nawet nie znamy. Nie wiedziałyśmy, że jest arystokratą oraz że mieszka w czymś, co jest skrzyżowaniem Disneylandu z Camelotem. A jeśli chodzi o żądę pieniądza...

Słyszał ją jak przez mgłę. Był taki spóźniony! Obiecał Mavis Hipton, że wpadnie do niej po południu. Trzeba jej podać morfinę, by mogła przespać noc. Mavis znosi ból ze stoicką godnością. Nigdy się nie skarży. Nie wolno dopuścić, żeby cierpiała przez te dwie baby.

Wymownie spojrział na zegarek.

- Mówi pani, że należycie do tej rodziny, więc dlaczego o niczym nie wiecie?

- Moja siostra wyszła za jednego z Douglasów - Widać było, że nie zamierza pozwolić mu odjechać dopóki nie dopnie swego. - Susie nie miała sposobności poznać rodziny swojego męża, a bardzo by chciała.

Akurat teraz, kiedy Angus umiera - warknął. Parę godzin wcześniej odebrał telefon od Kennetha, którego bardzo ucieszyła informacja, że starzec jest coraz słabszy. A teraz... czy to jest żona Kennetha? - Muszę jechać.

Nie miałyśmy pojęcia, że Angus jest umierający. Poza tym do tej chwili żyłyśmy w przeświadczeniu, że Angus jest biedny jak mysz kościelna, ale był dla Rory'ego jedyną osobą z rodziny, pomijając brata, od którego Rory się odciął, i dlatego tu przyjechałyśmy. To, że czyhamy na jego fortunę, jest dla nas potworną obelgą.

Zawahał się na moment, a jego rysy złagodniały. Co ona powiedziała? Angus, stryj Rory' ego? Nie Kenneth, lecz Rory. Ten, który osiadł w Stanach.

Jej oburzenie kazało mu głębiej nad tym się zastanowić. No tak, chyba przesadził. Angus jest jego ulubionym pacjentem i decyzja przewiezienia go do domu spokojnej starości nie przyszła mu łatwo.

Kenneth jest niezrównoważony, ale to nie znaczy, że inni są tacy sami. Może te dwie kobiety rzeczywiście są rodziną Angusa? Jeśli Rory

się ożenił z jedną z nich, to automatycznie stały się jej członkami. Leży im na sercu los starszego pana? Nagle doznał olśnienia.

Naprawdę nie znają panie Angusa?

Już mówiłam, że nie znamy.

I chciałyby go panie dzisiaj zobaczyć?

Tak, ale...

A może zostać na noc? - Nie lubił zostawiać

Angusa na pastwę losu. Jemu potrzebna jest całodobowa opieka pielęgniarska, ale się na to nie zgodził. Zostawianie bez opieki człowieka z płucami w takim stanie to zbrodnia. Powinien leżeć w szpitalu, ale i tego odmówił. Przystał dopiero na dom spokojnej starości, do którego Jake miał go odwiedzić następnego dnia.

Czyli zostało mu jeszcze kilkanaście godzin.

Jeśli uda mu się je namówić, by zostały w zamku na noc, nawet jeśli chodzi im wyłącznie o pieniądze...

- Zaprowadzę was do niego.

- Teraz? - Zdumiała ją ta nagła zmiana jego nastawienia.

- Tak, teraz. Pod warunkiem że zostaniecie na noc. Patrzyła na niego jak na kangura z dwiema z głowami.

- Nie możemy zostać tu na noc.

- Dlaczego?

- Nie zostałyśmy zaproszone.

- Ja panie zapraszam. Angus potrzebuje teraz rodziny bardziej niż kiedykolwiek. Jutro przeprowadza się do domu spokojnej starości, ale jeszcze dzisiaj może potrzebować pomocy. Choruje na włóknienie płuc, ma bardzo ograniczoną pojemność płuc. Boję się, że zasłabnie i nie będzie miał siły wezwać pomocy.

Przyglądał się jej sceptycznie.

- Chyba byłbym przesadnym optymistą, gdybym pomyślał, że któraś z pań jest pielęgniarką.

Odwzajemniła mu się spojrzeniem pełnym powątpiewania. Jakby nie wiedziała, jak go ocenić, ale wyczuwała, że jego motywy są niejasne.

- Dlaczego pan o to pyta?

- Już to wyjaśniałem. Angus jest chory. Może potrzebować pomocy. Chcecie się z nim zobaczyć, ale... czy jesteście gotowe mu pomóc?

Gdyby któraś z was była pielęgniarką...

Żadna z nas nie jest pielęgniarką. Susie jest projektantką ogrodów...
Fatalnie.

A ja lekarzem. Powoli omiół ją spojrzeniem. Od upapranych błotem butów po czubek głowy. Lekarka.

Nie żartuje pani? Lekarzem dla ludzi?

Lekarzem dla ludzi.

I zna się pani na pojemności płuc?

Tak, w Ameryce słyszano co nieco o płucach odcięła się, bo znowu puściły jej nerwy. - Ostatnio jakiś statek przywiózł kolorowe obrazki płuc. Aktualnie na Manhattanie panuje opinia, że płuca znajdują się mniej więcej między szyją i krocem. Coś pomyliłam? W Australii jest inaczej?

Przepraszam. Nie chciałem...

Nieważne, czego pan nie chciał. I tak wystarczająco nas pan obraził. - Zawahała się. - Powiada pan, że Angus jest umierający?

Tak - powiedział cicho. - Może nie umrze tej nocy, ale jego dni są policzone. Umrze wcześniej, jeśli będzie sam. Nie zgadza się na tlen ani na leki przeciwbólowe, nie chce słyszeć o pielęgniarce, więc jeśli rzeczywiście jest pani lekarzem...

Nadal mi pan nie wierzy.

Przepraszam. - Trzeba jakoś ją udobruchać. Angus jest mi bardzo bliski. Jeśli jestem nieprzyjemny, to dlatego, że nie chcę zostawić go samego. Jeśli zgodzą się panie zostać na noc, uznamy to za zadośćuczynienie.

- Zadośćuczynienie?! Za co?

- Za lata zaniedbań. Błąd.

- My nikogo nie zaniedbałyśmy! - Aż się w niej zagotowało. Jak ona ładnie się rumieni, gdy jest zła, pomyślał.

Zaraz, zaraz, co to właściwie znaczy? Że zgłupiał do reszty.

- Okej. Nikogo nie zaniedbałyście. Przyjmuję, że nie wiedziałyście o jego istnieniu.

- To bardzo ładnie z pana strony. - Zerknęła na kobietę siedzącą nieruchomo w jej aucie. - Angus naprawdę potrzebuje pomocy?

Lekarskiej?

- Bardzo. Pomocy lekarskiej, jak i towarzystwa ludzi.
- Wobec tego zostaniemy.
- Tak szybko pani zdecydowała? - Teraz on nie krył zdziwienia. -

Nie musi pani porozumieć się z siostrą?

- Susie nie podejmie żadnej decyzji.
- Mówiła pani, że siostra jest chora. - Ściągnął brwi. - Na co? Jej stan nie jest tak poważny, żeby nie mogła zostać tu na noc.

Domyślam się, że możemy liczyć na; łóżko z pościelą.

- W zamku jest czternaście pokoi gościnnych Żona Angusa do końca swoich dni prowadziła don otwarty. Od lat nikt tam nie nocował, ale raz w miesiącu gospoia je wietrzy. Na wszelki wypadek.

Słyszała tylko to, co istotne.

- Te pokoje są na parterze?
- Niektóre owszem, ale...

To jej nie interesowało.

- Gdzie jest pokój gospoia?

- Gospoia nie mieszka w zamku. Przychodzi do Angusa trzy razy w tygodniu.

- To znaczy, że on jest kompletnie sam.

- Już to mówiłem.

- Słyszałam. Zgoda. Niech pan do niego idzie i powie, że zaraz tam będziemy.

- Kogo mam zaanonsować?

- Ja się nazywam Kirsty McMahon. - Wyprostowała się z godnością.

- A moja siostra Susie jest wdową po Rorym, bratanek hrabiego.

- Tym Rorym, który zginął w wypadku? Przypominam sobie. Jakiś czas temu Kenneth, drugi bratanek Angusa, zawiadomił go o śmierci brata. Przykra sprawa. Ale...

- Dajmy temu spokój - weszła mu w słowo. - Powinno panu wystarczyć, że nie polujemy na spadek po starszym panu. Proszę go poinformować, kim jesteśmy oraz że spędzimy noc pod jego dachem.

Niesamowita kobieta. Pojawiła się w samą porę.

Lekkim krokiem, w towarzystwie rozbieganego Borisa, zawrócił do zamku. Miał klucze, o które poprosił po ostatnim zawale leciwego pacjenta. Kazał psu zostać na dole, a sam wbiegł po schodach do jego

pokoi.

Lekarz na tym odludziu! Niesłychane.

Starszy pan nie leżał w łóżku. Stał przy oknie i patrzył na warzywnik i dalej na ocean. Jake przypomniał sobie Angusa w szkockim kilcie, dumnego pana na włościach. Ze smutkiem spoglądał teraz na drobną postać w szlafroku i ciepłych kapciach. Będzie mu go brakowało, gdy odejdzie na zawsze, a ta chwila jest już bliska.

Powinien dostać bajpas, ale się sprzeciwił. Jednak największe zagrożenie stwarzały jego niewydolne płuca. Już od drzwi Jake słyszał świszczący oddech starszego pana, świadczący o niedoborze tlenu.

- Wydawało mi się, że miałeś się położyć - warknął, na co Angus blado się uśmiechnął.

- Jeszcze zdążę. Dopiero piąta.

- Na stole masz kolację. - Sam przyniósł tacę, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, staruszek nic nie zje. Ciężko było Jake'owi patrzeć, jak przyjaciel gaśnie w oczach.

- Zjem, zjem. Dlaczego wróciłeś?

- Zniesiesz gości?

- Gości?

- Dwie Amerykanki. Siostry. Jedna z nich twierdzi, że jest wdową po Rorym.

- Rory. - Uśmiech na wargach Angusa zgasi. - Po moim Rorym?

- Twoim bratanku. Po starszym bracie Kennetha. O ile pamiętam, wyjechał do Stanów, zanim ja tu zawitałem. Opowiedz mi o nim - poprosił, gdy Angus odwrócił się z powrotem do okna.

- Od lat nie widziałem Rory'ego.

- Miałeś trzech bratanków - podpowiedział mu Jake. Zależało mu na tym, by rozniecić w apatycznym pacjencie choć isierkę zainteresowania. Zależało tak bardzo, że był gotowy spóźnić się jeszcze bardziej. Może te dwie Amerykanki pobudzą go do życia?

- Miałem dwóch braci - powiedział starzec tak cicho, że Jake musiał wyteńczyć słuch. - Razem wyjechaliśmy ze Szkocji. Dougal, najmłodszy, popłynął do Ameryki, a David i ja do Australii. Po Dougalu słuch zaginął, chociaż wiem, że miał syna. David ożenił się tutaj i miał dwóch synów: Rory'ego oraz Kennetha. David wyniósł się z Dolphin Bay, ale

jego chłopcy spędzali z nami wakacje.

Jacy oni byli? - Jake ciągnął go za język.

- Rory przepadał za tym zamkiem i zatoką. Wypływaliśmy we dwóch na ryby. Kochaliśmy Rory'ego jak własnego syna. Kenneth...

Jake się skrzywił. Nie, Kenneth na pewno nie był miłym dzieckiem.

Kenneth był młodszy od Rory'ego. - Angus oddychał z wyraźnym trudem.

Może nie powinien tyle mówić, ale Jake nie chciał mu przerywać. Teraz najważniejsze są te dwie krewne. Jeśli Kirsty naprawdę jest lekarzem...

- Kenneth jest konfliktowy - ciągnął Angus monotonnym głosem. - Sam miałeś okazję to stwierdzić. Poznałeś go. Jest taki sam jak jego ojciec. Kiedy byli dziećmi, Kenneth był bardzo niedobry dla Rory'ego. To się nasiliło, kiedy dorósł i zrozumiał, że Rory odziedziczy po mnie tytuł. Jakby tytuły były ważniejsze od rodziny. - Z trudem chwycił powietrze, a w jego oczach malował się bezgraniczny smutek nie mający wiele wspólnego z chorobą. - Kenneth był taki wredny dla Rory'ego, że gdy zmarli ich rodzice, Rory postanowił odciąć się od rodzinnych swarów. Wyjechał. Nie widziałem go przez dziesięć lat. Aż któregoś dnia zjawił się Kenneth, żeby mnie poinformować, że Rory zginął. Bardzo to przeżyłem...

Wygląda na to, że Kirsty mówi prawdę. To znaczy, że sprawy wyglądają lepiej, niżby się wydawało. Angus kochał Rory'ego jak syna, a u wrót zamku jest wdowa po Rorym. Jeśli jest podobna do swojej siostry... Może we dwie wniosą tu powiew świeżego powietrza? Powiew życia.

- One czekają - przypomniał mu Jake.

- Kto taki?

- Wdowa po Rorym.

- Kenneth nie mówił mi, że Rory się ożenił.

- Może o tym nie wiedział.

- To możliwe. - Angus ze zrozumieniem pokiwał głową. - Może nie wiedział. Rory bardzo szybko przestał ufać Kenowi.

- Przyjmiesz je?

- Tak.

- Dasz im zanoćować w zamku? - Jake wstrzymał oddech.

Stary człowiek długo się zastanawiał, spoglądając przez okno na warzywnik. Jake wiedział, że Angus marzy, żeby tam się znaleźć. Od kiedy zachorował, zamknął się w sobie i ledwie tolerował obecność gosposi. Czy zniesie te dwie Amerykanki? Jak bardzo był związany z Rorym?

- Żona Rory'ego... - powtórzył Angus bardzo powoli. - Jaka ona jest?

- Nie wiem. Rozmawiałem tylko z jej siostrą. Kirsty jest...

wybuchowa.

- Co to znaczy wybuchowa?

- Rozkoszna - wyznał Jake, a Angus parsknął śmiechem, co skończyło się atakiem kaszlu, ale gdy złapał oddech, w jego oczach nadal lśniły wesołe iskierki

- Proszę, proszę. Pierwsze oznaki życia. Najwyższy czas. Za długo jesteś sam.

- Angus...

- Wiem, wiem. To nie moja sprawa. Powiadasz, że te Amerykanki stoją pod bramą?

- Tak. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaraz je tu wprowadzę.

- Uważasz, że powinny tu zanoćować?

- Tak, jestem o tym przekonany. Angus rzucił mu przeciągłe spojrzenie.

- Powiadasz, że jest rozkoszna?

- Nie żona Rory'ego - pospieszył z wyjaśnieniem Jake. - W ogóle jej nie znam...

- Wiem, o kim mówisz. O siostrze żony Rory'ego. Uważasz, że jest rozkoszna?

- Tak, ale...

- Jeśli ona zostanie tu na noc... to znaczy, że ty tu rano przyjedziesz.

- Tak, ale...

- Nie wykręcaj się! - Staruszek rzucił mu hultajskie spojrzenie. - Nie będę przeszkadzał przeznaczeniu. No, no, kto by pomyślał? Oczywiście, że mogą tu zanoćować.

ROZDZIAŁ DRUGI

Angus ma ochotę zabawić się w swatkę. Trudno, pomyślał Jake, zbiegając po rzeźbionych schodach.

Otworzywszy drzwi na dziedziniec, stanął jak wryty. Spodziewał się, że obydwie kobiety będą już niemal pod domem.

Z daleka ujrzał na bruku dziedzińca przewrócony wózek inwalidzki i dwie postacie. Jedna leżała na ziemi, druga się nad nią pochylała.

Rzucił się biegiem. Tak, to bez wątpienia siostra Kirsty. Bliźniaczka? Podobna do niej jak dwie krople wody. A jednak z pewną różnicą. Ta kobieta jest w zaawansowanej ciąży, a na czole ma długą, cienką bliznę. Leży w błocie, obojętnie patrząc w niebo. Jake nieraz widział takie nieobecne spojrzenie u śmiertelnie chorych pacjentów, którzy stracili wolę życia. Przeraziło go, że w takim stanie może być tak młoda kobieta.

- Susie, przepraszam - kajała się Kirsty. - Nie wiedziałam, że ta dziura jest aż tak głęboka. Susie, co cię boli? Plecy? Nie ruszaj się. - Jedną ręką podtrzymywała siostrze głowę, drugą starała się ją unieruchomić.

Jake natychmiast sprawdził puls nieznajomej.

- Uderzyła się pani?

Kobieta z wysiłkiem pokręciła głową.

- Przeżyję. - Zrobiła ruch, jakby chciała się podnieść.

- Proszę leżeć. Najpierw panią zbadam. Lepiej, żeby się pani bardziej nie uszkodziła.

- Pięć miesięcy temu doznała pęknięcia kręgu T7 poinformowała go przestraszona Kirsty. - Częściowa paraplegia, ale stopniowo wraca jej czucie w kończynach dolnych.

- Mogę chodzić - powiedziała Susie.

- O kulach i po równym - przypomniała jej Kirsty, nadał ją przytrzymując. - I to niedługo.

- Przyniosę torbę - powiedział Jake.
- Sama wstanę - szepnęła Susie, a Jake pogładził ją po policzku.
- Proszę robić, o co proszę - powiedział. - Zaraz będę z powrotem.

Muszę się upewnić, że zmieniając pozycję, nie zrobi sobie pani krzywdy.

Wrócił błyskawicznie. Po raz drugi badając jej puls, spojrzał na Kirsty. Mógłby przysiąc, że to ona jest bardziej blada, a w jej oczach czai się paniczny strach.

- Musimy wezwać pomoc - gorączkowała się. Potrzebne są nosze. Ona musi być unieruchomiona, dopóki jej nie prześwietlą. Trzeba jechać do najbliższego szpitala.

Jake skarcił ją wzrokiem.

- Pani siostra miała wypadek pięć miesięcy temu. Do tej pory tkanka kostna powinna całkowicie się zrosnąć.

- Nie jest pan ortopedą.

- Nie, ale wiem, co mówię. Poza tym błoto jest miękkie. - Zwrócił się do leżącej. - Sprawdzę pani kręgosłup.

- Bogu niech będą dzięki za miękkie błoto - szepnęła Susie. - I Bogu dzięki za sensownego lekarza. Niech pan bada ten mój kręgosłup, doktorze.

- Susie...

- Kirsty, przestań! Pozwól temu sympatycznemu panu doktorowi wykonywać jego obowiązki.

- Już się robi - odparł Jake z uśmiechem. Kirsty obserwowała go spode łba.

One są jak awers i rewers, przeszło mu przez myśl, gdy wsuwał dłoń pod sweter Susie. Jedna pokiereszowana i w ciąży, druga sztywna ze strachu. Kręgosłup w porządku. Nie ma nowych uszkodzeń. Ale są inne komplikacje.

- Który to miesiąc?
- Ósmy - odrzekła Susie. - Jeszcze cztery tygodnie.
- Ale był już jeden fałszywy alarm - uzupełniła Kirsty.
- I dlatego wybrały się panie w podróż. Bardzo rozsądnie.
- To nie pana interes.
- Kirsty, jesteś opryskliwa.

Kirsty sprawiała wrażenie zaskoczonej, jakby jej siostra nie potrafiła

mówić.

- Leciła pani samolotem w ósmym miesiącu ciąży? Ze Stanów? - zwrócił się do Susie, ale nie uzyskał odpowiedzi.

Kirsty odczekała chwilę.

- Jesteśmy w Australii od miesiąca. Uznałyśmy, że siostrze dobrze zrobi spotkanie ze stryjcem Angusem. Mogłaby porozmawiać z nim o Rorym. Ale zaczęła rodzić, i upłynął miesiąc, zanim byłyśmy w stanie wyruszyć z Sydney. Koniec przesłuchania. Możemy już ją przenieść do środka?

Spoglądając na nią, uznał, że mieszane uczucia malujące się na jej obliczu są wyrazem poczucia winy. Miała pretensje do siebie samej. Najpierw jednak należy zająć się ciężarną. Pomógł jej usiąść.

- Pomalutku. Żadnych gwałtownych ruchów - powiedział z uśmiechem.

- Ten pan doktor jest tak samo apodyktyczny jak ty. I sympatyczny - zauważyła Susie. - Lepiej niech pan będzie apodyktyczny wobec Kirsty. Przyda jej się to bardziej niż mnie.

- Potem zajmę się pani siostrą. - Wodził wzrokiem od Susie do Kirsty. Tu się dzieje coś więcej niż uraz kręgosłupa oraz ciąża. Czego ta Kirsty tak się boi?

Susie była bardzo chuda.

- Coś jeszcze panią boli?

- Moja duma. Cała jestem upaprana błotem. Jake pochylił się, by wziąć Susie na rękę. Pomimo

cięży była tak lekka, że jeszcze bardziej się zaniepokoił.

Kirsty postawiła wózek.

- Już może pan ją posadzić.

- Wózek jest mokry, a poza tym przed nami schody. - Zrelaksuj się, mówiły jego oczy. - Powinna jak najszybciej znaleźć się w ciepłym miejscu.

Zdaje się, że po raz pierwszy uznała jego racje. Skoro uważa pan, że jest lekka... My, lekarze australijscy, mamy krzepę.

- Ćwiczycie podnoszenie ciężarów? - Nareszcie się uśmiechnęła, mimo że w jej oczach nadal tlił się strach.

- To jeden z przedmiotów szkolenia... zaraz po wykładzie na temat

lokalizacji płuc. A propos krzepy, uprzedzam panią, że gospodarz tego zamczyska był w przeszłości mistrzem wszech czasów w rzucie karczą. Lord Angus jest drobnej budowy, ale to twarda sztuka.

- Rzut karczą? Co to jest? - zainteresowała się Susie.

- Nie mam pojęcia. To szkocka specjalność. Podejrzewam, że to jedna z ich średniowiecznych rozrywek. Może to wypreparowane jądra dzika używane do mieszania owsianki?

Susie zachichotała.

W zamku Kirsty pomogła siostrze rozebrać się i umyć. Potem ułożyła ją w łożu królewskim, a Jake ponownie ją zbadał. Robił to skrupulatnie i powoli, jakby, miał dużo czasu, a przecież jeszcze przed chwilą było mu spieszno opuścić zamek.

I rozśmieszał Susie. Tę Susie, która ostatnio kompletnie zapomniała, co to uśmiech. Potrafił przebić się przez jej skorupę. Ktoś taki bardzo by się siostrze przydał.

Nie, to tobie ktoś taki by się przydał, pomyślała, obserwując tych dwoje. Po raz pierwszy od wielu tygodni ktoś zdjął z niej brzemię odpowiedzialności.

A gdyby zostały tu dłużej?

- Kiedy pani jadła?

- Hm... - chrząknęła Kirsty, gdy siostra nie przestawała się uśmiechać, unikając odpowiedzi. - W porze lunchu. Cztery, pięć godzin temu.

- Susie, co pani zjadła na lunch? - Trafił w samo sedno, ucieszyła się w duchu Kirsty.

- Kanapkę.

Kirsty już miała otworzyć usta, ale Jake spiorunował ją wzrokiem.

- Całą? Proszę powiedzieć prawdę.

- Pół - szepnęła Susie. Jake patrzył jej prosto w oczy. - Jedną czwartą - wyznała.

- Dlaczego pani nie je?

- Bo po jedzeniu jest mi niedobrze. Kirsty słuchała go z zapartym tchem.

- Czy dzieje się tak od śmierci pani męża?

- Tak.

- Czy rozmawiała pani o tym ze specjalistą?
 - Po co? - zapytała cicho Susie. - Kirsty nalega...
 - I uważa pani, że niejedzenie to żaden problem.
 - Tak.
 - Naprawdę?
 - Tylko Kirsty twierdzi, że to jest problem. Nie daje mi spokoju. A ja po prostu nie mam ochoty.
 - Domyślam się, że w ogóle niewiele pani czuje.
 - Ma pan rację - przytaknęła Susie ze smutkiem. Wszyscy mnie męczą...
 - Powinna pani odpocząć. Choćby dlatego, że ma pani podwyższone ciśnienie. Musimy się tym zająć.
 - Nie pojedę do szpitala.
 - Nic takiego nie powiedziałem. Gdyby zechciały panie zatrzymać się tu na dłużej...
- Susie spoglądała na niego z niedowierzaniem.
- Tutaj?
 - Należy pani do rodziny Angusa. Jestem pewien, że będzie bardzo zadowolony, jeśli pani wizyta potrwa tydzień lub dwa. Porozmawiam z nim. Ale najpierw musi pani coś zjeść oraz się przespać.
 - Nie jestem głodna.
 - Nie wątpię. Robię najlepsze omlety w całej Australii. Zobaczysz pani. Będzie mi bardzo przykro, jeśli pani odmówi.
- Sprytny chwyt, pomyślała z goryczą Kirsty. Ileż to razy uciekała się do tego szantażu?
- Drugi omlet zrobię dla pani siostry.
 - Sama go sobie zrobię - obruszyła się Kirsty. -Jeśli stryj Angus pozwoli. To jego zamek.
 - Oczywiście. A teraz - zwrócił się do Susie - zaprowadzę pani siostrę do Angusa. Panią przedstawimy mu jutro.
 - Jakim prawem... - syknęła, gdy wyszli z pokoju jakim prawem proponuje pan mojej siostrze pobyt w zamku bez porozumienia z gospodarzem? Z człowiekiem, który umiera. Jest pan jego lekarzem czy kuratorem? Kim pan jest? Podobno bardzo pan się spieszył.

- Jestem lekarzem oraz przyjacielem Angusa. Droga pani doktor, mamy szansę uratować trzy istnienia ludzkie. W tej sytuacji to, ile się spóźnię, jest bez znaczenia.

Nie rozumiem.

Chodzi o życie pani siostry, jej dziecka oraz stryja.

Szli labiryntem korytarzy. Zdumiewająca rezydencja. Urządzona jak prawdziwy pałac. Prawdę mówiąc...

- Nie jest to elegancki pałac - zauważył Jake. - Ludwici mieszkają się tu z używaną tandetą.

On czyta w moich myślach, pomyślała z przerażeniem.

- Jego żona miała wielkie plany - ciągnął, wspinając się po schodach po trzy stopnie naraz. - Ale zanim zakończono budowę, Angus postanowił, że to wystarczy. Jest bogaty, ale nie głupi. Pewnego dnia ten zamek sianie się ekskluzywnym hotelem. Same widoki warte są miliony. Na budowę Angus nie oszczędził pieniędzy, ale wystrój to już inna sprawa. Jest tu, na przykład, wspaniała sala balowa z niesamowitym żyrandolem. W stu procentach z plastiku.

Mijali teraz greckie kolumny oplecione bluszczem, plastikowym, *made in China*, oraz poustawiane pod ścianami fotele w stylu Ludwika XIV, tak tandetnie wykonane, że strach było na nich usiąść.

- Czy mogę powiedzieć, co myślę o ciągnięciu przez pół świata kobiety z połamanym kręgosłupem i w zaawansowanej ciąży, a na dodatek cierpiącej na anoreksję? Nie bez kozery wspomniałem o ratowaniu trzech istot ludzkich.

- Myśli pan, że o tym nie wiem? Gdyby nie ta karkołomna eskapada, moja siostra już by nie żyła. Taka jest prawda.

- Dlaczego?

- Po śmierci Rory'ego chciała umrzeć. Obawiam się, że ta myśl nadal jej nie opuszcza.

- Ta depresja jest leczona?

- Susie odmówiła leczenia. Poza tym nie może brać leków z powodu ciąży, nawet gdyby nie była temu przeciwna. Miałam nadzieję, że wizyta u bliskich jej męża pomoże jej się otworzyć.

- Powiedziała pani, że siostra jest projektantką ogrodów.

- To kolejny problem. W tym stanie nie może pracować. Więc siedzi

bezczylnie i myśli o tym, co straciła.

- Będzie miała dziecko, więc jej sytuacja nie jest taka tragiczna.
- Łatwo się mówi - mruknęła. - Dokąd idziemy?
- Do Angusa.
- Mówił pan, że już śpi.
- Powiedziałem, że udał się na spoczynek. To całkiem co innego.

Czeka na nas.

- Jest tak chory, że nie przyszedł sprawdzić, co się z nami dzieje?
- Jest w podobnym stanie ducha jak pani siostra. Odmawia przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Tylko siedzi i czeka.

- Kiedy umrze?

- Zanim panie tu przyjechały, powiedziałbym, że to kwestia tygodni.

- Zwolnił kroku. - A nawet dni. Obawiam się, że skapitułuje, jak znajdzie się w domu spokojnej starości. Żyje dla tego miejsca.

- Dla zamku?

- Zamek był ukochanym dzieckiem jego żony, a on pokochał ogród.

Ale teraz... - Jake się zawahał.

- Teraz mamy pod ręką wykwalifikowaną ogrodniczkę oraz lekarkę.

Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Zatrzymał się przed parą rzeźbionych dębowych drzwi. Na jednych widniała wytłoczona w plastiku tabliczka z misiem i napisem „Tu mieszka Deirdre”, na drugich podobna tabliczka z informacją: „Tu mieszka Angus”.

W chwili, gdy Jake kładł rękę na klamce, Kirsty wybuchnęła nieopanowanym śmiechem. Zaśmiewając się, stanęła przed obliczem hrabiego Loganaich.

Staruszek podniósł się z fotela. Oddychał z trudem i miał lekko sine wargi.

Gdyby był moim pacjentem, pomyślała, dostałby tlen.

- Oto mój gość - powitał ją z uśmiechem. - Ale... Jego wzrok padł na jej wyciągniętą dłoń, na której nie było obrączki. - Nie jest pani wdową po Rorym? Jake się pomylił, prawda? Rory się nie ożenił.

- Rory był mężem mojej siostry.

- Nie przyjechała...

- Jest w zamku - wyjaśnił Jake. - Ale źle się czuje. Położyliśmy ją do

łóżka.

- Jest chora?

Kirsty wyczuła, że starszemu panu bardzo zależy na poznaniu Susie.

Siostra ogromnie żałuje, że nie była w stanie dzisiaj przyjść do pana.

Doktor przekonywał mnie, że możemy przenocować w zamku.

- Oczywiście.

Nie będziemy się naprzykrzać. Wyjedziemy z samego rana.

- Tak szybko?

- Nie chciałybyśmy przeszkadzać.

- Nikt nie chce mi przeszkadzać - mruknął. - Dlaczego Rory nie zawiadomił mnie o ślubie? Dlaczego Kenneth mi o tym nie napomknął?

Na te pytania Kirsty nie знаła odpowiedzi.

- Może Susie wie więcej - odparła. - Jutro państwo sobie porozmawiają. - Wargi starszuka nadal były sine, a on sam oddychał z ogromnym wysiłkiem. Zachwiał się i byłby upadł, gdyby Kirsty go nie podtrzymała i nie pomogła usiąść na łóżku. - Powinien pan mieć tlen. - Zwróciła się do Jake'a. - Dlaczego pacjent nie dostaje tlenu? To bardzo by mu pomogło. Jake westchnął.

- Bardzo pani dziękuję, pani doktor. Widzę, że także tlen znany jest w Ameryce.

- Przepraszam - wyjąkała. Jak można się wtrącać do metod leczenia drugiego lekarza?! - To nie moja sprawa, ale Angus... przepraszam, nie wiem, jak powinnam pana tytułować.

- To moja wina, bo zapomniałem o dokonaniu prezentacji - tłumaczył się Jake. - Doktor Kirsty McMahan, hrabia Loganaich.

- Na imię mi Angus - powiedział starzec, ale jego uśmiech przemienił się w kaszel.

- Angus, pozwól sobie pomóc - prosił Jake, poważnie zaniepokojony. - On nie chce tlenu.

- Nie chcę.

- Nie chce tlenu, bo postanowił umrzeć - powiedział surowym tonem Jake. - Jak pani siostra. Jak Susie.

- Susie chce umrzeć? - zaniepokoił się Angus. - Żona Rory'ego chce umrzeć? Dlaczego?

- Wydaje się, że z tego samego powodu co ty. Bo nie warto żyć. -

Chwycił starca za rękę. - Pozwól sobie pomóc. Przestań być uparty jak osioł.

Kirsty wzięła głęboki wdech. Musi się wtrącić! Wytoczy najcięższe działo.

- Wyglądasz bardzo źle. Bez tlenu możesz nie dożyć jutra - mówiła cicho. - Susie przejechała pół świata, żeby się z tobą zobaczyć. Byłaby niepokieszona.

- Wcale... - Zaniósł się kaszlem. - Nie zamierzam umrzeć tej nocy. Lekko speszona zerknęła na Jake, ale ten dał jej znak, by kontynuowała.

- Gdybyś umarł dzisiejszej nocy, pozbawiając Susie możliwości porozmawiania z tobą, byłby to szczyt egoizmu.

- Egoizm? - Angus opadł na poduszki. - Nie jesieni samolubem.

- Jeśli zgodzisz się, żeby doktor Cameron podał ci tlen, na pewno dożyjesz jutra. I prawdopodobnie będziesz żył jeszcze rok albo nawet dłużej.

- Daj mi, dziecko, spokój. Nie umrę w nocy. Wykluczone.

- Masz sine wargi. To bardzo zły znak. Jestem lekarzem jak doktor Cameron.

- Gdybym miał sine wargi, to Jake by mi o tym powiedział - wykrztusił Angus.

- Jake sto razy ci to mówił - mruknął Jake, odwracając się do okna.

- Co z tego, że mam sine wargi?

Kirsty na co dzień pracowała w hospicjum, więc stale miała do czynienia z osobami chorymi i przestraszonymi. Za zasłoną brawury wyczuła jego strach.

- Podamy ci tlen. - Co ona tu robi? Jak to się stało, że wyręcza teraz australijskiego lekarza? Dlaczego wkroczyła na jego terytorium? - Oraz środek przeciwbólowy. - Intuicja podpowiadała jej, że staruszek odmawia również i tego. - Zobaczysz, jak wielka będzie różnica. Nie dość, że będziesz żył dłużej, to poczujesz się nieporównanie lepiej.

Skąd wiesz?

- Bo w Stanach mam pacjenta, któremu od dziesięciu lat podaję tlen. Dzięki temu żyje już dziesięć lat dłużej i cieszy się życiem.

- Co to za przyjemność być przywiązany do butli z tlenem?

- Ogromna. Cyril bawi się z wnuczkiem, uprawia ogródek...
- Zajmuje się ogrodem? - Angus nagle się ożywił.
- Nie rozstaje się z pojemnikiem z tlenem. Wozi go jak torbę na zakupy na kółkach. Na własne oczy widziałam, jak w ogrodzie wrywa chwasty. Klęczy na poduszce, bo go bolą kolana. Po jakimś czasie nawet rurka w nosie przestała mu przeszkadzać.
- Nie jestem taki jak ten twój pacjent.
- Wiem od Jake'a, że cierpisz na włóknienie płuc. To znaczy, że jesteście tacy sami.
- Nie mam wnuczka - nie poddawał się Angus.
- Nie masz, ale niedługo będziesz miał. - Staruszek rzucił jej zaskoczone spojrzenie. - Moja siostra jest w ciąży. Urodzi dziecko Rory'ego.
- Kenneth by mi powiedział.
- Kenneth nie chce jej znać. Dał nam to wyraźnie do zrozumienia. Więc przyjechałyśmy tu w nadziei, że stryj Angus, którego Rory często wspominał, pokocha jego dziecko. - Jake milczy, więc trzeba pójść na całość. - Jeśli potrafisz zdobyć się na wspaniałomyślność, zgodzisz się na tlen i morfinę proponowane przez doktora Camerona, podziękujesz mu, dobrze się wypiszesz, a rano przywitasz się z Susie.
- Żona Rory'ego jest brzemienna... - rzekł staruszek. - To znaczy, że muszę żyć, żeby zobaczyć ich dziecko. Nie kłamiesz?
- Po co miałyby kłamać? - Jake wkroczył do akcji.
- Angus, podłączę cię teraz do tlenu zgodnie z zaleceniem pani doktor, zgoda?
- Zgoda - westchnął staruszek.
- Nie ruszę się stąd - oświadczyła Kirsty, gdy dotarli do kuchni, gdzie od progu rzucił się jej w oczy ekspres do kawy. Ostatnią porządną kawę wypila w Sydney. - Tutaj mogę przejąć pałeczkę. Tutaj pańska pomoc nie będzie mi potrzebna.
- Mów mi po imieniu. - Stał przed otwartą lodówką i wraz z Borisem przeglądał jej zawartość. - Czy ona zje ten omlet, jak ty go jej zaniesiesz?
- Hm. Nie.
- Skąd ja to znam... - westchnął. - Sam jej zaniosę.

- Miałeś jeszcze kogoś odwiedzić.
- Dziewczynki już śpią, więc mogę się nie spieszyć.
- Twoja żona też tak wcześnie chodzi spać? Spojrzał na nią jak na idiotkę, co zważywszy, że oburącz przytulała ekspres do kawy, było całkiem uzasadnione.
- To nieistotne. Ty do grzanek, ja do omletu. -Uśmiechnął się do Borisa, który z nadzieją wymachiwał ogonem. - A ty siad!
- Niezłe rozgraniczenie.
- Nawiązując do rozgraniczeń: nie myślałaś o spółce lekarskiej? - rzucił, nie wyjmując głowy z lodówki.
- Nie znasz mnie.
- Poznałem cię na tyle, że proponuję ci pracę.
- Tak bardzo potrzebujesz wspólnika, że proponujesz pracę nieznanym Amerykance?
- Jestem w podbramkowej sytuacji. - Wychynął z lodówki i w milczeniu zabrał się do robienia omletu.
- Skoro się nie odzywa, to nie będę mu przeszkadzać, pomyślała, mimo że dręczyły ją dziesiątki pytań.
- Gdzie Susie urodzi? - zapytał niespodziewanie.
- W Sydney. Zapisałam ją do szpitala miejskiego.
- O wszystkim pomyślałaś.
- Nie jestem głupia.
- Ciągniesz niepełnosprawną, ciężarną i anorektyczną kobietę przez pół świata...
- Nie miałam wyboru. Kocham moją siostrę i nie mogłam patrzeć, jak gaśnie na moich oczach. Pomyślałam, że pozna tu kogoś, kto zachował w pamięci jej Rory'ego. - Wojowniczym gestem rzuciła grzankę na talerz. - Kiedy Angus się uśmiecha... On ma taki sam uśmiech jak Rory... Poza tym czuję, że Rory potrafiłby wymyślić taki sam kiczowaty zamek. Jak on powstał?
- Zamek okazał się zbawieniem dla tutejszej ludności. Dolphin Bay jest miasteczkiem rybackim. Przez dziesiątki lat cała okolica żyła z atuna. To taka wielka makrela - dodał, widząc jej zdziwienie. - Ale czterdzieści lat temu atun zniknął niemal z dnia na dzień. Podobno padł ofiarą jakiegoś pasożyta. Rybacy stracili jedyne źródło utrzymania. Aż

pewnego dnia zjawili się tu hrabia Loganaich oraz jego ekscentryczna żona. Tak im się tu spodobało, że zbudowali zamek. Miejscowi pukali się w czoło. Teraz, kiedy poznałem Angusa, podejrzewam, że od samego początku miał świadomość, że jest to jedyny sposób, by pomóc tym ludziom.

- Uważasz, że im pomógł? - zapytała.

- Nie wiem, ale jedno jest pewne: miejscowi nie dadzą powiedzieć przeciwko niemu złego słowa. Nikt nie drwi z jego zamku. Może być? - Spojrzała na talerz. Między dwoma chrupiącymi grzankami parował kuszący omlet. - Och, zapomniałem! - Wybiegł z kuchni na dwór, by sekundę później wrócić z gałązką pietruszki.

To nie lekarz, to czarodziej, pomyślała.

- Susie da się skusić? - zapytał.

- Chyba tak.

- Reszta jest dla ciebie. - Głową wskazał na miskę z jajkami. -

Wybacz, jestem zajęty.

Ruszył do pokoju Susie, która odmawia jedzenia. Ja bym tam nie grymasiła...

ROZDZIAŁ TRZECI

- On jest fantastyczny.

Kirsty nie miała najmniejszych wątpliwości, kim tak zachwyca się jej siostra.

Na stoliku przy łóżku Susie stał pusty talerz. Dwie grzanki i omlet z dwóch jaj zniknęły! Teraz Susie piła herbatę.

- Nie przeczę. Postarał się dla atrakcyjnej młodej wdowy.

- On to zrobił dla ciebie - powiedziała cicho Susie. - Kirsty, to jest bardzo przystojny mężczyzna.

- Z żoną i córką.

- Skąd wiesz?

- Bo powiedział, że musi jechać do domu do swoich dziewczynek.

- Szkoda. - Pomimo wywrotki na zamkowym dziedzińcu chyba nic jej nie dolegało. Dawno nie była taka radosna. - Pan hrabia jest sympatyczny?

- Angus jest bardzo sympatyczny.

- Tak go sobie wyobrażałam. Rory twierdził, że stryj jest wyjątkowy. Zupełnie inaczej niż Kenneth. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Rory uważał, że Kenneth jest psychicznie chory. Zjawił się u nas na krótko przed śmiercią Rory'ego. Któregoś wieczoru stanął pod naszymi drzwiami i zachowywał się bardzo podejrzanie. Zamiast wpuścić go do środka, Rory zabrał go do restauracji, a kiedy wrócił, był bardzo zdenerwowany. Pomyślałam wtedy, że już nigdy nie zechce pojechać do Australii. Tęsknił wyłącznie do stryja Angusa i do stryjenki. On naprawdę jest hrabią? Dlaczego Rory mi o tym nie powiedział?

- Nie mam pojęcia. Zmierzę ci ciśnienie, zanim pójdziesz spać.

- Mierz, ale będzie dobre. Może mogłybyśmy zostać tu trochę dłużej? - zapytała Susie, ziewając.

Dlaczego nie? Jest wprawdzie jeden mały problem: obowiązki w

hospicjum w Stanach, ale i tutaj znajdzie się praca dla lekarza. Już w tej chwili ma dwóch pacjentów, którzy jej potrzebują.

Obaj jej pacjenci przeżyli noc. Rano Kirsty zrobiła im herbatę oraz grzanki, namówiła ich, by je zjedli, Angusowi podała kolejną dawkę morfiny, a potem poszła wziąć prysznic do łazienki, w której oprócz wymyślnego żyrandola wisiał okazałych rozmiarów owalny portret królowej Wiktorii.

O ósmej, zanim jeszcze wyszła z łazienki, usłyszała dzwonek do drzwi. Nieoczekiwany gość dzwonił niecierpliwie. Jeśli ona mu nie otworzy, zrobi to Angus albo Susie. Nie ma wyboru.

Owinięta ręcznikiem otworzyła drzwi, by na progu ujrzeć Jake'a oraz Borisa.

- Mówiłeś, że masz własne klucze. - Spiorunowała go wzrokiem, a on odwzajemnił się jej szelmowskim uśmiechem.

- Bez kluczy jest ciekawiej. - Wszedł do środka. Mogłem sobie sam otworzyć, ale nie wiedziałem, w jakim jesteś stanie.

- Jasne, biegałam po korytarzach na golasa.

- Naprawdę?

- Jak sądzisz? - Boris z zainteresowaniem obwąchiwał jej ręką. - Możesz zabrać tego burka? Ten rękawik ledwie się na mnie trzyma.

- Nie przejmuj się Borisem. On nie ma złych zamiarów.

- Co to za rasa? - Na chwilę dała zbić się z tropu. Dziwna mieszanka charta z posokowcem... z ET? Długie obwisłe uszy, chudy tułów, wytrzeszczone smutne oczy i cudaczny pysk.

- Boris jest niepowtarzalny. - Pies szczeknął z aprobatą.

- Zrobiony według twojej receptury?

- On nie jest mój.

- Pozwól, że nie uwierzę. - Patrzyła, jak psisko całym ciężarem i z uwielbieniem w oczach oparło się o jego nogę.

- Mam go od niedawna. Należał do mojej pacjentki, tutejszej nauczycielki, pani Pritchard. Kiedyś podrapałem go za uchem, czym podbiłem jej serce i zasłużyłem na wzmiankę w testamencie. Zwróciłem notariuszowi uwagę, że lekarzom nie wolno przyjmować spadków po pacjentach, ale notariusz uznał Borisa za wyjątek. Bo nikt by się ze mną o niego nie procesował.

- Lubieś panią Pritchard i lubieś jej psa - powiedziała w zadumie, a on poczuł się skonfundowany.

- Chyba tak. Jak się mają nasi pacjenci? Pomysł praktykowania na prowincji coraz bardziej do niej przemawiał.

- Jake, ty się tutaj urodziłeś?

- Nie.

- Jak długo tu pracujesz?

- Cztery lata.

- Tak krótko? Co cię sprowadziło do takiej dziury?

- Spodobało mi się tu - uciął.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się do Borisa, który obwąchiwał jej stopy. - Jak zareagowała twoja żona, kiedy nagle przyprowadziłeś do domu tę pokrakę?

- Muszę brać się do roboty. - Popatrzył na zegarek. - Idę do Angusa. Czy Susie też chce mnie oglądać?

- Chciałabym, żebyś ją obejrzał. Prawdę mówiąc... Zawahała się. - Kiedy wyjeżdżaliśmy ze Stanów, myślałam, że będę także jej lekarzem, ale to nie wychodzi. Nie potrafię połączyć roli siostry i lekarza.

- Trudno o profesjonalny dystans, prawda?

- W ogóle nie mogę się na to zdobyć. Dlatego na twój widok spadł mi kamień z serca. - Odetchnęła głębiej. - Umiesz przyjąć poród?

Bardzo długo zwlekał z odpowiedzią. Może najpierw powinna się ubrać, a dopiero potem domagać się odpowiedzi na nurtujące ją pytania.

Czy Angus nie wyjął z nosa rurki z tlenem? Czy zostanie przewieziony do domu spokojnej starości? A jeśli nie, to kto będzie się nim opiekował? Wówczas Susie też zostanie w zamku i tu urodzi, więc ten człowiek będzie musiał odebrać poród...

- Czy Angus już rozmawiał z Susie? - Jake przerwał tok jej myśli.

- Nie. Myślałam, że...

- Zaraz, zaraz. Wszystko w swoim czasie. Najpierw się ubierz. Masz bardzo ładny dekolt, ale ręcznik jest zdecydowanie za kusy.

Wprowadzasz zamęt na mojej liście priorytetów. Przez ten czas zajrzę do naszych pacjentów.

Ubierając się pośpiesznie, usłyszała przez ścianę, z pokoju siostry, odgłosy rozmowy.

Susie z wyrazem zainteresowania na twarzy siedziała w łóżku, obok Angus w fotelu. Nadal miał problemy z oddychaniem, ale rurka, jak pan Bóg przykazał, tkwiła w jego nosie, a na podłodze stał pojemnik z tlenem na kółkach. Boris wyciągnięty na łóżku podstawił Susie łeb do drapania. Jake stał przy oknie.

Cała trójka patrzyła na ogród.

- Nic z niego nie będzie - zawyrokował Angus takim tonem, jakby koniec świata był tuż-tuż. - Mogę jechać do tego domu starców. Jeśli Spike umrze...

- Mamy nowego pacjenta? - zdziwiła się Kirsty. - Kto to jest Spike?

- Dynia Angusa - poinformowała ją Susie.

- Słucham?

- Dynia odmiany Queensland Blue - rzuciła Susie, jakby to cokolwiek wyjaśniało. - Popatrz na tę część z warzywami. Widziałaś taki pięknie utrzymany warzywnik?

Kirsty, mocno zaniepokojona, że przyjdzie jej zajmować się trzema obłąkanymi pacjentami oraz obłąkanym psem, powoli podeszła do okna, lecz jej oczom ukazał się wypielęgnowany ogród warzywny z rzędami wszystkich możliwych warzyw oraz drzewek owocowych.

- Musimy tam iść - oświadczyła Susie, energicznym ruchem odrzucając koc.

- Myślisz, że potrafisz coś zaradzić? – zapytał Angus, na co Susie odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym współczucia i ostrożności, by nie obudzić w nim płonnych nadziei.

- Postaram się. Może gleba jest za wilgotna? Mam wrażenie, że takie obfite deszcze na początku jesieni to tutaj rzadkość.

- Tak. Zwykle jest zdecydowanie bardziej sucho.

- Spróbujemy podnieść całą roślinę, żeby nie leżała na ziemi.

Przerzedzimy też liście, żeby dostawała więcej słońca. To jej powinno pomóc. Wilgoć to idealne środowisko dla pleśni.

- Pleśń - powtórzył Angus tonem rodzica, który usłyszał słowo „białaczka”.

Przepraszam - spieszyła się Susie. - Nie chciałam cię przestraszyć. Ale

musimy tam iść, żeby Spike'a zbadać.

- Jesteś brzemienna, dziecko. - Angus patrzył na nią z niepokojem. - Nosisz dziecko Rory'ego.

- Rory miałby mi za złe, gdybym się tu wylegiwała, podczas gdy pleśń zżera dynię stryja Angusa! Kirsty, musisz mi pomóc.

- A ty, Jake - Angus dźgnął Jake'a palcem w brzuch - przynieś mi kurtkę i kalosze. Nie ociągaj się.

Dziesięć minut później Jake i Kirsty obserwowali z ganku konsylium mające na celu ustalenie przyczyny niemocy Spike'a, dorodnej szaro-zielonej dyni.

Susie, niepewnie opierając się na kulach, oglądała pacjentkę ze wszystkich stron, podczas gdy Angus przysiadł na pojemniku z tlenem.

- Jesteśmy świadkami cudu? - zapytał Jake, zniżając głos.

- Nic nie mów, wstrzymaj oddech.

- Jej nogi nieźle wytrzymują obciążenie - zauważył.

- Tak, ale ona nie chce chodzić - poźaliła się Kirsty. - Tutaj ziemia jest rozmiękła, więc była zmuszona dojść do Spike'a na własnych nogach.

- Łaska boska... Powiadasz, że ona zna się na ogrodnictwie?

- Mhm.

- To znaczy, że Angus ma teraz żonę ukochanego bratanka, która urodzi jego dziecko, tak jak on uwielbia paprać się w ziemi i musi gdzieś się podziać przez kilka najbliższych tygodni.

- Nie tak szybko, Jake.

- Nie mów, że nie przyszło ci do głowy, że....

- Ciii... jeszcze na to za wcześnie.

- Wczoraj twoja siostra była obojętna na cały świat, a mój pacjent chciał umrzeć. Dzisiaj ten pacjent nie protestuje przeciwko butli z tlenem...

- Bo służy mu za stołeczek. - Uśmiechnęła się. - Okej, doktorze, przyznaję, że tym razem się udało.

- Większość australijskich lekarzy wie, że na choroby płuc oraz depresję najlepsza jest kuracja dyniowa. Do Stanów te procedury jeszcze nie dotarły?

Uśmiech zamarł na wargach Kirsty, ponieważ Susie niebezpiecznie

się zakołysała. Spokojnie, wszystko jest w porządku.

- Angus! - zawołał Jake. - Dzisiaj jedziemy do domu spokojnej starości.

Badacze dyń patrzyli na niego zdumionym wzrokiem.

- Do domu spokojnej starości? - zdziwił się Angus, ale natychmiast skojarzył, o co chodzi. - Ach tak. Taktycznie. - Zerknął ponuro na Susie. - Przystałem na to.

- Dlaczego przenosisz się do domu spokojnej starości? - zapytała Susie.

- Bo już czas. Nie mogę tu chorować. Jake przyjeżdża do mnie dwa razy dziennie, ale nie może tego robić w nieskończoność.

- Angus ma zaawansowane włóknienie płuc. Nie może być sam.

- Włóknienie płuc... - powtórzyła jak echo Susie. Umierasz? - szepnęła.

Staruszek lekceważąco machnął ręką.

- Każdego to czeka.

- Ty już jesteś gotowy zejść ze sceny - rzucił Jake bez cienia współczucia. - Tłumaczyłem ci nieraz, że fizjoterapia, tlen oraz środki przeciwbólowe mogłyby przedłużyć twój pobyt na tej ziemi o dobrych kilka lat. A gdybyś do tego miał bajpas...

- Po co mi żyć tak długo?

- Żeby wyhodować jeszcze większe dynie - powiedziała pośpiesznie Susie. - Angus, dopiero co się poznaliśmy. Jesteś bardzo podobny do Rory'ego i jesteś jego stryjem. Jak umrzesz, zostanę sama.

Kirsty nagle poczuła rękę Jake'a na ramieniu. Wiem, wiem, będę cicho, pomyślała. W ogromnym napięciu czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

- Angus, czy chciałbyś, żebyśmy tu zostały? - zapytała cicho Susie, a Kirsty wstrzymała oddech. Jej siostra podejmuje decyzje! Ta sama Susie, która od śmierci męża nie chciała o niczym decydować.

- Byłoby to możliwe, gdyby doktor Cameron zgodził się odebrać twój poród - zauważyła Kirsty.

Jake się skrzywił.

- Zazwyczaj dwa tygodnie przed terminem wysyłam wszystkie ciężarne do szpitala w Sydney.

- Dlaczego? - zapytała Susie.
- Bo jeden lekarz to trochę za mało. W przypadku konieczności przeprowadzenia cesarskiego cięcia musiałbym mieć anestezjologa.

Twarz Susie się rozjaśniła.

- Nie widzę problemu. Kirsty może być anestezjologiem. Wcale nie chcę znieczulenia. Zamierzam urodzić siłami natury. Czy to była jedyna przeszkoda? - Zwróciła się do Angusa. - Możemy zostać? Nie możemy wyjechać z Australii, bo żadna linia lotnicza nie zabierze mnie na pokład samolotu. Skoro ty potrzebujesz kogoś, kto będzie tu z tobą mieszkał, a my nie mamy gdzie się podziąć... Razem moglibyśmy poważnie zająć się tą dynią.

Starszy pan i kobieta o kulach znowu pochylili się nad cierpiącym warzywem.

Nadal czując dłoń Jake'a na ramieniu, Kirsty uznała, że błyskawicznie musi obmyślić plan działania. Ale jak tu się skupić, skoro ta męska ręka jest taka ciepła? Strąciła ją, a Jake odskoczył, jakby i jego zaskoczyła taka niezamierzona poufałość.

- Co tu jest grane? - zapytał półgłosem, spoglądając na Angusa i Susie. - To się dzieje zdecydowanie za szybko.

- To jest to, czego Susie rozpaczliwie potrzebuje.

- Nie rozumiem.

Należy mu wytłumaczyć, w jakim stanie ducha jest Susie.

- Rory odciął się od rodziców i brata. Przyjechał do Stanów, żeby zacząć od nowa. Od czasu do czasu wspominał wyłącznie o stryju, ale kiedy Susie zaproponowała, żeby go odwiedzili, odmówił. Wyglądało na to, że tylko Susie uznał za swoją rodzinę. A potem zginął. Ponieważ nikt go nie opłakiwał oprócz Susie, można by pomyśleć, że Rory nigdy nie istniał. Teraz Susie odnalazła Angusa, który jest przemiły i jej potrzebuje. Jestem przekonana, że Susie uważa, że Rory na pewno by chciał, żeby zamieszkała w tym zamczysku. Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla niej błogosławieństwo. Otarła łzy wzruszenia. - Spisałeś się na medal.

- Jak na lekarza z Australii - mruknął.

- Ja nie płaczę. Nigdy nie płaczę. To tylko...

- Katar sienny wywołany przez dynie. Może jakiś lek

antyhistaminowy?

- Nie, dziękuję.

Susie przysiadła na murku i z zapalem opowiadała o nawożeniu.

- Czy ona może tu urodzić?

- Tutaj nie ma warunków. Ale wzięwszy pod uwagę wszystkie za i przeciw, tych „za” jest zdecydowanie więcej. Jak pani sądzi, pani doktor? - Kirsty pokiwała głową. - Jakim jest pani lekarzem?

- Amerykańskim.

- Wiem. Do tego bardzo atrakcyjnym. Nie macie tam specjalizacji?

- Chyba mamy. Ty jesteś lekarzem rodzinnym.

- Od wszystkiego - uściślił. - Ale ze specjalizacją z chirurgii.

- Masz anestezjologa?

- Już nie. Joe Gordon, świetny anestezjolog, osierocił mnie pół roku temu.

- To dlatego jesteś taki zapracowany.

- Owszem. A ty gdzie pracujesz?

- W dużym hospicjum.

- Medycyna paliatywna.

- Nie do końca... Jestem anestezjologiem - przyznała się - ze specjalizacją w zakresie walki z bólem. Dlatego pracuję w hospicjum. Blokada podpajęczynówkowa to moja specjalność. - Widząc jego ściągnięte rysy, domyśliła się, co dzieje się w jego głowie. - Żadnych złudnych nadziei - ostrzegła go. - Jestem tutaj, żeby opiekować się siostrą.

- Jak bardzo interesują cię dynie?

- Mało. Są mniej komunikatywne niż ludzie.

- Więc może byś mi pomogła?

- W jaki sposób? - Obserwowała Susie i Angusa, którzy w skupieniu oglądali liść po liściu. - Muszę tu być z Susie i Angusem. Sam powiedziałeś, że Angus nie może być sam. Podobnie Susie. A to znaczy, że nie mogę...

- Opuścić zamku.

- To niesamowite - zdumiewała się w duchu. W osobie tego schorowanego starca jej siostra znalazła bratnią duszę. Do końca ciąży będzie z nim ratowała chore dynie!

Więc może ona mogłaby... przeczytać.

- Mogłabyś mi pomóc - powtórzył Jake.
- W jaki sposób?

Jak on ładnie się uśmiecha. A do tego te wesołe iskierki w oczach...

Nie zapominaj o Robercie, skarciła samą siebie. Nie zapominaj o rodzicach, Rorym, medycynie. Oraz o tym, że ten człowiek ma rodzinę. Jego córki...

- Mam pewien pomysł.
- Słucham.
- Moje dziewczynki... - Zawahał się, a ona poczuła, że jej szeroki uśmiech jest nie na miejscu. - Mam gosposię.
- To dobrze - rzuciła ostrożnie.
- Dobrze, a nawet lepiej. Nasza gosposia Margie Boyce jest dyplomowaną pielęgniarką. Na emeryturze, ale nadal sprawną. Mogłaby w ciągu dnia mieć oko na Angusa oraz Susie.

Coś tu nie pasuje, pomyślała Kirsty.

- Poradzicie sobie bez niej?
- Nie, ale...
- Co będzie z dziewczynkami?
- Też tu będą.
- Dziewczynki miałyby być na zamku?
- Tak.
- A twoja żona?
- Nie mam żony.
- Tylko dziewczynki.
- Jesteś bardzo wścibska.
- Tak - odparła z szerokim uśmiechem.

To go zbiło z tropu. Stał przed nią i przyglądał się jej, jakby nie wiedział, co o niej myśleć.

Praca w hospicjum nauczyła ją, że nie wolno tracić czasu, bo pacjenci mają go bardzo mało, stąd ta bezpośredniość. Może nawet stała się wścibska, ale przecież nie ma nic do stracenia.

- Jestem rozwiedziony.

Mruknęła coś w odpowiedzi i przeniosła wzrok na parę w ogrodzie. Tego też nauczyło ją hospicjum. Trzeba dać ludziom czas do namysłu.

- A dziewczynki to twoje córki - odezwała się w końcu.
- Tak.
- W jakim wieku?
- Cztery lata.
- Obydwie?
- To bliźniaczki.
- Bliźnięta są super - odrzekła z uśmiechem, ale on omiół ją bardzo chłodnym spojrzeniem. Wydawało się jej, że to już koniec tego tematu, lecz on postanowił złożyć bardziej obszernie wyjaśnienie.
- Poznałem Laurel na studiach. Ja zostałem chirurgiem, ona radiologiem, ale nawet nie pamiętam, dlaczego się pobraliśmy - mówił z niechęcią. - Oboje nas zżerała ambicja, szybko pięliśmy się po drabinie sukcesu, więc wkrótce ten związek stał się jedynie pretekstem do organizowania przyjęć. Dla pewnej klasy gości. I nagle okazało się, że Laurel jest w ciąży.
- Nieplanowanej?
- Oczywiście że nieplanowanej. Dla Laurel była to katastrofa. Zgodziła się ją donosić, pod warunkiem że od samego początku zatrudnimy nianię. - Zawahał się. - Przystąpiłem na to. Jestem jedynakiem, więc nie miałem żadnych doświadczeń związanych z niemowlętami. Ale... w końcu Alice i Penelope przyszły na świat.
- I okazało się, że są to istoty ludzkie - przerwała mu Kirsty, a on rzucił jej zdziwione spojrzenie, jakby nie oczekiwał takiego zrozumienia.
- Pokochałem je od pierwszej chwili. Moje dziewczynki. Ale Laurel nie wyobrażała sobie życia z bliźniakami. Nienawidziła nowego życia, nie mogła pogodzić się z tym, że podbiły moje serce. Postawiła mi ultimatum: ona albo one. Oczywiście z góry wiedziała, kogo wybiorę. Kiedy dziewczynki miały pół roku, wyjechała z Australii z pewnym neurochirurgiem. I od tej pory się nie odezwała.
- Okropne, pomyślała Kirsty. To też dowód na to, że nie należy się angażować.
- Co wtedy zrobiłeś?
- Przeniosłem się na prowincję. Zrezygnowałem z kariery w Sydney. Łudziłem się jak niepoprawny romantyk, że na prowincji będę miał dla dziewczynek bardzo dużo czasu.

- I nic z tego?

- Ano nic. Ale nie żałuję. Ludzie tutaj są fantastyczni. Wszyscy kochają Alice i Penelope. Może moje córeczki nie mają ojca tak dużo, jak by tego chciały, ale za to dostają ogromną rekompensatę.

- A ty? Ty też masz jakąś rekompensatę?

- To nadto osobiste pytanie. - Jego ton był tak chłodny, jakby znienacka mu się oświadczyła. - Opowiadam ci o tym, żeby wyjaśnić obecność Margie Boyce w moim życiu. Margie ma męża, Bena, który był ogrodnikiem w zamku, dopóki nie zmógł go artretyzm. Ben i Angus przyjaźnią się od lat. Jakiś czas temu podsunąłem Angusowi pomysł, że Margie i Ben mogliby zamieszkać w zamku, ale on oczywiście się nie zgadza. Wie, że Margie zajmuje się moimi dziewczynkami, więc byłbym zmuszony szukać innej osoby, poza tym nie dopuszcza do siebie myśli, że Margie będzie go niańczyć. - Popatrzył na dwie głowy pochylone nad słabującą dynią. - Jeśli powiemy Angusowi, że warunkiem pozostania Susie w zamku jest jego zgoda na to, by opiekowała się nią Margie oraz to, że wraz z Margie znajdą się tu moje dziewczynki... to myślę, że powinien się zgodzić.

Kirsty pokiwała głową. Brzmiało to sensownie.

- W ten sposób ja nie będę miała nic do roboty.

- Będiesz pracowała ze mną. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Dużo wysiłku intelektualnego włożyłem w to, żeby uratować cię od nudy.

Powinna zdobyć się na szczerłość. Już w Sydney z tęsknotą myślała o „swoim” hospicjum, a w Dolphin Bay na pewno umrze z nudów.

- Wątpię, żeby mogła tu pracować - zaczęła ostrożnie. - Musiałabym się zarejestrować, wykupić ubezpieczenie...

- Ten region ma status głębokiej prowincji. Prawdziwej prowincji. A to znaczy, że tutejsze władze zaakceptują każdego. - Popatrzył na zegarek. - W Stanach jeszcze jest popołudnie dnia wczorajszego. Jeśli dasz mi numer telefonu twojego szpitala, to nawet dzisiaj mógłbym wszystko załatwić. Od ręki.

- Ty naprawdę bardzo mnie potrzebujesz - szepnęła, uśmiechając się szeroko.

- Jesteś mi bardzo potrzebna - przyznał. - Jako lekarz.

- Jasne. Jakżeby inaczej. Ale... chcesz tu wszystkich ściągnąć. Co na

to Angus?

- Postawię go przed faktem dokonanym. Ty chcesz ze mną pracować, ale w takim razie Susie musi być pod opieką Margie, która zaistnieje tu z moimi dziewczynkami oraz Benem. Od śmierci Deirdre ten zamek jest jak grobowiec. Angus zamknął się w nim i czeka, kiedy umrze. Jeśli uda mi się sprowadzić tu Bena, jego starego przyjaciela, Margie, moje rozświergotane dziewczynki oraz Susie i jej maleństwo... Nie sądzisz, że nie ma lepszego środka antydepresyjnego? Dla niego, jak i dla Susie.

Jemu na tym strasznie zależy, pomyślała, gdy wpatrywał się w nią w napięciu. Czeka na twoją aprobatę.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZWARTY

O czternastej jechała z Jakiem na swoją pierwszą wizytę lekarską w Australii.

W zamku zostali: Susie, Angus, Margie i Ben Boyce'owie, Alice, Penelope oraz Boris. Mimo że ta sytuacja została im narzucona, sprawiali wrażenie zadowolonych. Susie i Angus dali się przekonać, że dobrze zrobi im popołudniowa drzemka. Margie wzięła się do pieczenia ciasta. Piegowate bliźniaczki Jake'a asystowały jej w nadziei, że dostaną miskę do wylizania, a Boris czekał cierpliwie pod stołem na to, co z niego spadnie. Ben natomiast okopywał grządkę pasternaku.

- Ile zajęło ci wymyślenie tego wszystkiego? - zapytała, gdy Jake z chytrym uśmiechem na twarzy skręcił w polną drogę.

- Jak widzę korzyści, to działałam błyskawicznie. Nieźle to wykombinowałem, nie?

- Fantastycznie.

Puste i ponure do tej pory zamczysko nagle zaczęło tętnić życiem i śmiechem. Nawet Susie brała aktywny udział w tym zamieszaniu. Podczas lunchu, który spożyli razem przy kuchennym stole, było tak wesoło, że Kirsty nawet nie zwróciła uwagi na to, co je.

- Jestem tego samego zdania.

- Jeszcze tak się nie ciesz - zgasiła go. - Po powrocie możemy się dowiedzieć, że Boris rozkopał całą grządkę z dyniami...

- Boris jest psem o bardzo wysokim ilorazie inteligencji. Poza tym to są przecież dynie. Martwiłbym się, gdyby chodziło o baranie udźce czy choćby truskawki, ale nie o dynie.

Także Kirsty odczuła skutki zmiany, która zaszła w zamku: już dawno nie było jej tak lekko na sercu. A może stało się to za sprawą doktora Camerona?

- Opowiedz mi o tej pacjentce, do której mnie wiesziesz.

- Mavis Hipton ma osiemdziesiąt lat i jest nieuleczalnie chora na raka macicy z przerzutami do kości. I tak jak Angus nie chce iść do szpitala. Ale jej sytuacja jest nieco lepsza niż jego, bo ona ma kochającą córkę, która bardzo o nią dba.

- To po co mnie do niej wiesz?

- Mavis ma bardzo silne bóle, a ja nie potrafię dopasować dawki morfiny tak, żeby nie była senna. Ona bardzo chce czytać wnukom. Wczoraj zwiększyłem jej dawkę morfiny, ale może ty znasz lepszy sposób? Mógłbym zadzwonić do specjalisty w Sydney, ale nie widząc jej, niewiele by mi pomógł. Poza tym...

Zawahał się. - Ona uważa, że najlepszym rozwiązaniem jest umrzeć we śnie. Mam nadzieję, że jesteś odmiennego zdania. Myślę, że przed nią jeszcze kilka miesięcy życia, więc gdyby mogła spędzić je z rodziną... Za nic w świecie nie chciałbym jej tego pozbawić.

W końcu dojechali do biednie wyglądającej chaty z desek, za to z firaneczkami w czerwono-białą kratkę w oknach. Na schodach małe dziecko robiło babki z piasku. Kobieta, która im otworzyła, miała na sobie dżinsy, kraciastą koszulę oraz ciężkie robocze buty. Wytarła rękę w kuchenną ściereczkę i podała Jake'owi dłoń.

- Witaj, Jake. Myślałam, że dzisiaj nie zdążysz do nas zajrzeć.

- Barbaro, przecież wam obiecałem... Jak spała?

- Jak suseł. Dobrze, że wczoraj przyjechałeś, bo strasznie cierpiała.

- A dzisiaj?

- Gorzej niż zawsze. - Kobieta miała łzy w oczach.

- Nie chce więcej morfiny. Powiedziała, że weźmie wieczorem, ale nie teraz. Po morfinie jest senna, więc jeśli ma spać przez cały czas, to woli umrzeć zaraz.

Jake pokręcił głową.

- Postaramy się to zmienić. Barbaro, poznaj doktor McMahon ze Stanów. Myślisz, że mama zechce z nią porozmawiać?

- Mama jest zachwycona każdym gościem. -Zwracając się do Kirsty, wskazała na większy dom dalej przy tej samej drodze. - Mąż i ja mieszkamy tam, ale mamie się nudzi. Poza tym ona ma lepszy piekarnik, a ja akurat piekę babeczki. Idźcie do mamy, a jak skończycie z nią rozmawiać, babeczki będą gotowe.

- Po co komu honorarium, skoro mamy babeczki
- rzucił beztrąsko Jake, pochylając się nad babką z piasku.

Oto lekarz z sercem, pomyślała Kirsty. Większość jej kolegów po fachu dbała o pacjentów, ale nie miała czasu na podziwianie babek z piasku.

Mavis Hipton leżała w wielkim łóżu nakrytym barwnym patchworkiem. Przez okno mogła obserwować wnuczkę, kury grzebiące wśród krzaków róż, a dalej krowy, które teraz schodziły ze wzgórz. Kto, mając takie widoki, wolałby leżeć w szpitalu?

Lecz już w progu Kirsty zauważyła, że kobieta cierpi. Jej oczy były pełne bólu i strachu. Kirsty dobrze знаła ten wyraz twarzy świadczący o pogodzeniu się z faktem, że ból skończy się dopiero wraz ze śmiercią.

Jak tu spać bez końca, jeśli za oknem tyle się dzieje? Mavis najwyraźniej chce w miarę swoich możliwości w tym uczestniczyć i dlatego nie korzysta z zapasu morfiny, który Jake zostawił jej pod ręką.

- Pani doktor jest specjalistką od bólu? - zapytała, gdy Kirsty weszła do pokoju.

- Mam na imię Kirsty. - Taka poufałość była niedopuszczalna w jej nowojorskim hospicjum, ale tutaj wcale nie raziła.

- Jak się tu znalazłaś? - wyszeptła kobieta. - Chyba nie przyleciałaś z Ameryki tylko po to, żeby mnie obejrzeć.

- Siostra Kirsty jest żoną Rory'ego Douglasa - wyjaśnił Jake, a w oczach staruszki rozbłysło zainteresowanie.

- Wdowa po Rorym? Po Rorym naszego Angusa?

- Moja siostra przyjechała do niego w odwiedziny. Pomyślałam, że zostawię ich samych i do czegoś się przydam.

- Angus znowu ma rodzinę - rzekła półgłosem Mavis. - No proszę. Czy to nie cudowne? - Uśmiechnęła się, walcząc z bólem. - Każdy powinien mieć rodzinę. - Jej bystre oczy wodziły od Kirsty do Jake'a. Kryło się w nich nieme pytanie. - Nawet doktor Cameron.

- Myślę, że bliźniaczki mu wystarczą - odparła Kirsty, ignorując tę aluzję. - Pani Hipton...

- Mów mi po imieniu.

- Wobec tego, Mavis, czy możesz razem z Jakiem opowiedzieć mi o waszej walce z twoim bólem?

Słuchała cierpliwie.

- Chyba mogę ci trochę pomóc - odezwała się po jakimś czasie. -
Pod warunkiem, że mi zaufasz.

- Mavis, sprawdziłem kwalifikacje doktor McMahon. Nie ma
lepszego specjalisty od niej.

- Kiedy ostatni raz brałaś morfinę?

- Koło czwartej rano.

- A potem nie? Dlaczego?

- Nie potrzebuję jej.

- A ja widzę, że cierpisz. Bardzo.

- Zniosę to... Do bólu można się przyzwycząić, a morfina uzależnia i
trzeba brać jej coraz więcej. Jak będzie mnie bardzo bolało...

- Już teraz bardzo boli - wtrącił Jake, a w oczach kobiety błysnął
strach.

- Jeszcze nie umieram.

Zawsze to samo nieme przerażenie, pomyślała Kirsty. Że ból będzie
coraz silniejszy i wówczas leki już nie poskutkują.

- Nie, Mavis, jeszcze nie umierasz. - Ujęła dłoń staruszki. - Ale
cierpisz. Widzisz, morfina jest bardzo dziwna. Jeśli sięga się po nią, żeby
zapomnieć o problemach, jak wielu narkomanów, to rzeczywiście czło-
wiek od niej się uzależnia. Ale jeśli bierze się ją, żeby złagodzić ból,
bardzo silny ból, taki jak twój, ona zawsze jest skuteczna. Jestem
przekonana, że cierpisz niepotrzebnie ze strachu, że się uzależnisz, oraz
dlatego, że morfina cię usypia. Nie bierzesz jej regularnie, a to znaczy,
że przed kolejną dawką ból jest bardzo silny. Czekasz, aż ból stanie się
nie do zniesienia i dopiero wtedy ją bierzesz. Mam rację?

- Tak - szepnęła Mavis. Jake milczał.

- Przysięgam, że w dawkach proporcjonalnych do twojego bólu
morfina nie uzależnia. Przysięgam też, że będzie skuteczna tak długo,
jak będziesz jej potrzebować. Musimy jednak trafić na odpowiednią
dawkę. Zaczniemy od nieco mniejszej niż teraz, za to co cztery godziny.
Jeśli ból się nasili, weź więcej, ale potem wróć do dawki podstawowej.
Dzwoń do mnie codziennie. W końcu, stopniowo zwiększając dawkę,
dojdziemy do takiej, która kompletnie wyeliminuje ból. Tak będzie,
Mavis. Uwierz mi. Potem przejdziemy na znacznie wygodniejszą

tabletkę zażywaną dwa razy dziennie, a mikstura zostanie na wszelki wypadek. Naszym celem jest wyeliminowanie bólu. Całkowite. Żebyś mogła wyjść na werandę albo zająć się kuchnią, jeśli poczujesz się lepiej. Nie chcemy, żebyś oglądała świat tylko przez okno.

- Ale po morfinie chce mi się spać. Nie chcę spać. Zostało mi tak mało czasu. Nie chcę go przesypiać...

Senność występuje, gdy dawka jest za duża, a ty decydujesz się na morfinę dopiero, gdy ból jest nie do wytrzymania, więc pewno bierzesz jej za dużo. Od dzisiaj będziesz ją brała po trochu, za to częściej. Jeśli dalej będziesz senna, odstawimy morfinę i przerzucimy się na coś innego. Nie wykręcaj się, Mavis. Musimy całkowicie pozbyć się tego bólu. Będziesz ze mną współpracowała?

Staruszka wpatrywała się w Jake'a, który się uśmiechał. Przeniosła wzrok na Kirsty.

- Zostajesz tu dłużej?

- Moja siostra ma za miesiąc urodzić. Nie ruszam się stąd.

- To znaczy, że przez miesiąc nasz doktor będzie miał współlnika.

- Na to się zanosi. A ty nadwornego lekarza, specjalistę opieki paliatywnej. Jeśli ci to odpowiada.

- Jake nie ma nic przeciwko temu?

- Jake nie ma nic przeciwko temu - potwierdził. - Mavis, Kirsty spada nam z nieba.

- Zatem witaj w Dolphin Bay, Kirsty. Będę bezgranicznie wdzięczna za twoją pomoc.

- No to ubiliśmy interes. - Kirsty posłała staruszce szeroki uśmiech. Dlatego wybrała tę specjalizację. Po długiej przerwie nareszcie ma poczucie, że jest pożyteczna. - Mavis, postawię cię na nogi, zobaczysz.

- Rewelacja. - Ruszając spod domu Mavis, Jake rzucił Kirsty spojrzenie pełne aprobaty.

- Nie mamy pewności, że będzie trzymała się zaleceń.

- Będzie - odparł z przekonaniem. - Cierpiała tak strasznie, że chciała jak najszybciej umrzeć. A ja nie potrafiłem jej pomóc.

Narkotyzowałem ją po końcówki włosów. - Zacisnął dłonie na kierownicy. - A ty masz to w małym palcu;

- Robię to każdego dnia. Nic dziwnego, że się na tym znam. Za to

jako internista mam spore luki. Na widok ospy wietrznej uciekam, gdzie pieprz rośnie.

Uśmiechnął się.

- Na widok porządnej ospy wietrznej uciekłby każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie.

Parsknęła śmiechem. Jak miło. Fantastycznie. Chętnie będzie pracowała z tym człowiekiem. Oraz cieszyła się życiem. Przez cały najbliższy miesiąc...

- Czy jesteś gotowa wziąć na siebie rolę anestezjologa przy niewielkim zabiegu?

- Hm... Co masz na myśli?

- Mam farmera w średnim wieku z przepukliną pachwinową. Facet za żadne skarby nie chce jechać do szpitala w mieście. Ubzdurał sobie, że stamtąd nie wróci. Z pomocą anestezjologa mógłbym go operować tutaj. Skoro tu jesteś...

- To zamierzasz mnie wykorzystać, tak?

- Taki mam zamiar.

Cisza. Jake włączył radio. Uszczęśliwiona Kirsty spoglądała na szafir oceanu, po którym sunęła niebieska łódź rybacka.

- Jak w niebie - szepnęła. - Fantastyczne miejsce dla dzieci.

- Dlatego tu osiadłem. Dojeżdżali do zamku.

- Jakie masz plany?

- Na to popołudnie?

- Tak.

- Ciebie wysadzę w zamku, a zabiorę Bena, Margie oraz dziewczynki i Borisa.

- Przecież masz jeszcze innych pacjentów.

- Owszem, ale teraz ty zajmiesz się Angusem i Susie, więc mogę zabrać Margie do staruszków w naszym domu spokojnej starości.

- Może byś ich zostawił w zamku, aż skończysz z pacjentami? - powiedziała, przypomniawszy sobie góry jedzenia w zamkowej lodówce. - Wróciłbyś na zamek, a ja zrobiłabym dla nas wszystkich kolację.

- Nie - odparł bez namysłu. - Dzięki. Spojrzała na niego wzrokiem pełnym zdumienia, bo przemówił tak samo ostrym tonem jak pierwszego

dnia, kiedy podejrzewał, że Kirsty i Susie polują na spadek po Angusie.

- Powiedziała coś niestosownego?
- Nie.
- Nie chcesz zjeść kolacji ze mną... z nami? Jake zawahał się.
- Dobrze, powiem to teraz, chociaż może to trochę za wcześnie.

Kirsty, chciałbym uniknąć nieporozumień. Nie szukam kobiety mojego życia. Moje córki są dla mnie najważniejsze, więc nie mam czasu na romanse.

To wyznanie podziałało na nią jak kubek zimnej wody.

- Nie masz czasu na romanse?
- Przysięgłem sobie, że nie będę się angażował, żeby nie wprowadzać zamieszania do życia moich córek. Przede wszystkim jestem ojcem. Potem lekarzem. Moje życie erotyczne jest na szarym końcu.

- Nie masz czasu na romanse - mruknęła. Stali już pod bramą zaniku.
- Co masz na myśli, mówiąc o „romansach”?

- Dobrze wiesz.
- Nie wiem - warknęła. - Przez minioną godzinę z tobą pracowałam.

Czy to jest romans?

- Nie, chciałem...
- Rozmawiam z tobą. Odważyłam się zmusić cię do odpowiedzi.

Parę razy nawet się do mnie uśmiechnęłaś. To masz na myśli?

- Wiesz doskonale, co mam na myśli. - Chyba się rozzłościł.

To bardzo dobrze.

- Boisz się wspólnej kolacji ze mną, moją siostrą, z twoimi córkami, Angusem, Margie, Benem oraz Borisem. Boisz się, bo może z tego wyniknąć coś, co nazywasz romansem. Boisz się, że w połowie deseru przeskoczę przez stół i jak szalona zacznę zdierać z ciebie ubranie.

- Nie bądź...

- Melodramatyczna? To ty przesadzasz, traktując takie zaproszenie jako dowód na to, że chodzi mi o twoje ciało. Nie czujesz, że mnie obrażasz? Może mam w Stanach męża oraz szóstkę dzieci, a ty sugerujesz, że nie dość, że robię ci propozycje, to jeszcze zdradzam ukochanego. Że nie wspomnę o szóstce drobiazgu, którym on musi się zajmować, podczas gdy ja włóczę się z siostrą po świecie.

- Masz rodzinę? - zapytał zbity z tropu tą nieskładną tyradą, ale ona już wysiadła z auta.

- Nie twój interes. Może nawet i byłby to twój interes, gdybym złożyła ci taką propozycję, ale wyobraź sobie, że wcale ci jej nie składam. Możesz olać zaproszenie na kolację. Między nami nic nie ma. Żadnych romansów. Zero.

- Kirsty...

- Czego?

- Będziesz jutro operować ze mną tę przepuklinę? Nie przeprasza. Czy naprawdę pomyślał, że ona go podrywa? Tak bardzo w Sydney tęskniłaś za medycyną, więc teraz nie skazuj się na nudę. Schowaj dumę do kieszeni.

- Pod warunkiem, że będziemy stali na przeciwnych końcach stołu operacyjnego, z tłumaczem pośrodku - powiedziała półgłosem. - Nie możemy rozmawiać bezpośrednio, bo przecież nic nas nie łączy.

- Kirsty, przykro mi...

Nareszcie. Ale to bardzo mizerne przeprosiny.

- Mnie też. Bo to mogła być bardzo przyjemna kolacja. Dla wszystkich. I zapewne wszystkim by dobrze zrobiło takie wspólne biesiadowanie. A my moglibyśmy mieć ciekawy układ zawodowy. Ale nic z tego. - Trzasnęła drzwiami samochodu.

Maszerując przez dziedziniec, słyszała głosy i śmiech dobiegające z ogrodu, ale tam nie zajrzała.

Zamknęła się w swoim pokoju, a wyszła z niego dopiero, gdy usłyszała, że Jake odjeżdża.

Zabierając ze sobą swoje kompleksy.

Stary, czy ty na głowę upadłeś? Przez resztę dnia towarzyszyło mu podejrzenie, że zachował się jak krety. Astralny idiota. Zaproszenie na zbiorową kolację w zamkowej kuchni potraktował tak, jakby Kirsty ciągnęła go do łóżka.

Trochę przesadził. Odrobinę.

Czuł jednak, że nie do końca.

Popołudnie w przychodni niczym nie różniło się od poprzednich. Kaszel, przeziębienie, wypisanie nowej recepty, zawsze bolące kolano pani Bakerson... Nic, co mogłoby mu przeszkodzić w rozmyślaniu o

Kirsty.

Kirsty jest niezwykła. Jej romans nie w głowie, ale jemu zdecydowanie tak. Kirsty ma rodzinę.

Na pewno jej nie ma. Posłużyła się tym argumentem, żeby jeszcze dobitniej mu uzmysłwić jego głupotę. Wcale nie był taki głupi, wymawiając się od tej kolacji.

Taka zdolna, ambitna lekarka... Poczekaj, aż jej siostra urodzi i obydwie wrócą do Stanów. A on zostanie w Dolphin Bay. Obejrzy pan mój wrastający paznokieć, doktorze? - zapytała pani Bakerson. - Trzeba go operować?

Z należytą uwagą przyjrzał się stopie pacjentki.

Zaletą pracy wiejskiego lekarza jest to, że bardzo dużo się wie o swoich podopiecznych. Tym razem wiedział, że państwo Bakerson są wielkimi amatorami kowbojskich tańców. Jego uwadze nie uszły kowbojskie buty Connie Bakerson na niebotycznych obcasach. Od dawna czuł, że wynikną z tego poważne problemy.

Jednak jego myśli nadal zaprzętała Kirsty. Gdyby się w niej zakochał...

Wykluczone, wolno mu kochać wyłącznie bliźniaczki. One mają tylko jego. Gdyby zakochał się w Kirsty, a ona za kilka tygodni by wyjechała...

Może jest durniem, ale wie, że serce by mu pękło. Nie jest pan dziś rozmowny, doktorze. Myśli pan o tych młodych damach, które zatrzymały się w zamku. To bardzo dobrze, że się tu znalazły, prawda? Jedna w ciąży z bratankiem Angusa, a druga jest lekarką. - Naciągnęła skarpetkę. - Dobrze by było, gdyby tu zostały. Dla Angusa. Dla pana. Dla mnie?

Przecież jedna z nich jest lekarką - obruszyła się pacjentka. - Podobno już była z panem u którejś chorej staruszki, no i jest śliczna.

Bez wątpienia, pomyślał z goryczą. To bardzo mała społeczność. Wiadomości rozchodzą się tu lotem błyskawicy.

Więc nie należy o niej myśleć. Bo ledwie by jej dotknął, w ciągu paru minut dowiedziałby się o tym cały region.

- Hej, doktorze, a może ona jest wolna? - Pani Bakerson zdecydowanie się ożywiła. - Słyszałam, że jest bardzo ładna. Obydwie są

ładne, ale ta druga sparaliżowana. W wypadku, w którym zginął jej mąż. Harriet z poczty twierdzi, że ta lekarka jest bardzo atrakcyjna. - Uniosła brwi. - Co pan na to, doktorze? Zdecydowanie za długo jest pan sam. Te pańskie dwie myszki powinny mieć mamę.

Miałeś stuprocentową rację, stary, wykręcając się od tej kolacji, pomyślał, z uśmiechem na wargach odprowadzając pacjentkę do drzwi. Kirsty zapewne uważa, że jego reakcja była niewspółmierna do zaproszenia, ale ona nie zna tego miasteczka. Ludziom wystarczy zobaczyć niezamężną kobietę, a już szykują się na wesele.

Trzeba od razu to ukrócić.

- Ona jest zamężna. I ma szóstkę dzieci.

- Szóstkę? Nikt o tym nie wspomniał.

- Wiem to od niej - mówił. - Jej biednego męża nie widać spod pieluch - westchnął.

- Niemożliwe - oburzyła się pani Bakerson. - Ona sobie podróżuje, a on został z szóstką dzieciaków!

- W głowie się nie mieści, prawda?

- To znaczy, że bardzo kocha swoją siostrę.

- Może ma dosyć pieluch.

- Nie nam ją osądzać - zauważyła roztropnie pani Bakerson. - Za mało o niej wiemy. Margie była rano na zamku?

- Owszem.

- Wracając do domu, wpadnę do niej.

- Oczywiście. - Nagle poczuł się zmęczony. - Należy sprawę do końca wyjaśnić. Aha... I proszę przez tydzień unikać tańca.

- Ale...

- Na pewnych sprawach znam się najlepiej. Bolące kolano, obolały palec u nogi. Zalecam nowe buty oraz odpoczynek.

- Ja nie mam kiedy odpocząć.

Bo trzeba trzymać rękę na pulsie wydarzeń w Dolphin Bay, pomyślał, patrząc przez okno na pacjentkę, która rączym krokiem, ani trochę nie utykając, podążała w stronę domu Margie. Gdyby kiedykolwiek zdecydował się na romans... to na oczach całego miasteczka?

Romans nie wchodzi w rachubę. Zdecydowanie.

Obudziwszy się następnego dnia, Kirsty usłyszała, że jej siostra

pogwizduje. Nie dowierzając własnym uszom, podeszła do okna i wyrzła do ogrodu.

Susie, kompletnie ubrana, leżała na nadmuchiwany materacu i łopatką okopywała marchewki.

Kirsty przeniosła wzrok na okno Angusa. Staruszek z fotela nadzorował tę operację.

- Dziewczyno, uważaj, nie zrób sobie krzywdy! zawołał. - Poczekaj, aż do ciebie zejdę i ci pomogę.

O Boże, pomyślała zawstydzona Kirsty. Angusowi trzeba pomóc się ubrać oraz sprawdzić tlen!

Oto dwie osoby, które jeszcze półtorej doby temu chciały umrzeć, a teraz radują się nowym dniem.

Czy ją cieszy ta perspektywa? Nagle przypomniała sobie, że czeka ją operacja przepukliny. Nie znalazła w sobie wielkiego entuzjazmu z tego powodu. Co więcej, odczuwała lekki strach. Dlaczego?

Bała się swoich reakcji? Jake dał jej jasno do zrozumienia, że on sobie tego nie życzy.

Postanowiła, że zadzwoni do Roberta, do tego grzecznego, przewidywalnego Roberta. Zna go od lat, a ich zażyłość rozwijała się powoli i spokojnie. Do jej wyjazdu z Susie.

Był to związek monotony i nudny. Kirsty przeczuwała, że wystarczy miesiąc, by definitywnie się rozpadł, ale teraz potrzebowała punktu oparcia, a Robert zawsze był bardzo praktyczny. Tak, zadzwoni do Roberta, ale przedtem zatelefonuje do Mavis, by dowiedzieć się, jak minęła noc, wyprawi Angusa do ogrodu i namówi jego oraz Susie, żeby zjedli śniadanie.

Ale czy zajęci ogrodem dadzą się na nie skusić?

Ni stąd, ni zowąd Susie i Angus pokochali życie. Ona też powinna tryskać entuzjazmem.

Będzie operowała wraz z Jakiem.

Ekscytujące. Żadnych romansów, upomniała się w duchu. Mimo to rozpierała ją radość.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Dom spokojnej starości przy szpitalu w Dolphin Bay okazał się niewielkim budynkiem z miejscowego białego wapienia. Miał dużą werandę i piękny ogród. Zajechawszy na parking, Kirsty dostrzegła kilka osób krzątających się wśród kwietników. Przez gąszcz wiciokrzewu prześwitywał ocean, a wśród konarów potężnych fikusów hałasowały papugi.

Coś takiego przydałoby mi się w Nowym Jorku, pomyślała. Przyjemnie umierać w takim miejscu.

I przyjemnie żyć.

Wszyscy wiedzieli, kim jest. Ledwie wysiadła z auta, a poczuła na sobie wzrok ogrodników oraz starszusków wygrzewających się na werandzie. Energicznym krokiem podeszła do niej młoda pielęgniarka.

- Doktor Kirsty? Mam na imię Babs - przedstawiła się.
- Doktor Jake powiedział, że będzie tu o dziesiątej tłumaczyła się Kirsty.

- Już jest. Ale Francis tak się boi, że jeśli zaraz go nie uśpimy, to nam ucieknie - poinformowała ją Babs, prowadząc do sali operacyjnej. - Jake, Kirsty już przyjechała.

Gotowy do operacji sprawdzał instrumenty oraz sprzęt. Gdy powitał ją uśmiechem, serce jej zatrzepotało. Nie po raz pierwszy. Przestało się jej to podobać.

Psiakość, dlaczego nie trzepocze z powodu uśmiechu Roberta?

Doktor Jake nie życzy sobie z nikim się wiązać.

- Mamy do czynienia z najbardziej wystraszoną pacjentką na kuli ziemskiej - powiedział. - Francis ma sześćdziesiąt lat. Dopóki przepuklina go nie wyeliminowała, był nieustraszoną szefem naszej straży pożarnej, ale zawsze mdlał na widok kropli krwi. Bałem się, że jeśli go tu przewieziemy, a on zobaczy ten sprzęt, to nam zejdzie na zawał.

- Wobec tego zbadam go w jego pokoju.

- Tak będzie lepiej. Sprawdź, czy jeszcze czegoś tu potrzebujesz.

Rozejrzała się. To prosty zabieg, proste znieczulenie, nawet wzięwszy pod uwagę strach pacjenta.

- Ile jest łóżek w tej placówce? - spytała, zaskoczona nowoczesnym wyposażeniem sali.

- Dwadzieścia miejsc szpitalnych oraz dziesięć dla rezydentów.

- Zdecydowanie za dużo dla jednego lekarza.

- Wiem coś o tym. Nieźle muszę się napracować, żeby utrzymać ich w dobrym zdrowiu.

- Jake każe im pracować w ogrodzie - wtrąciła się Babs. - Ma własną metodę usprawniania perystaltyki. Albo regularne wypróżnienie, albo marsz do ogrodu.

- Niemożliwe.

- Praca w ogrodzie jest remedium na wszystkie dolegliwości. Jak usłyszy, że ktoś tylko westchnie, od razu wkłada mu do ręki szpadel.

- Pacjenci się nie buntują?

- Przepadają za tym - oświadczył Jake. - Babs, zaprowadź Kirsty do Francisa. Ma tu być za dziesięć minut. Uspiony.

- Jeżeli uznam, że się do tego nadaje.

- Musisz tak uznać - powiedziała Babs. - Bo też dostaniesz szpadel. Jake jest surowym szefem.

Kirsty od drzwi wyczuła zapach strachu.

- Dzień dobry, jestem Kirsty, anestezjolog. Postaram się, żeby pan się zrelaksował na tyle, żeby doktor Jake mógł się zająć tym zbędnym wyrzuceniem. - Zawahała się, bo mężczyzna aż się skurczył.

Czy wyglądam tak strasznie?

- N-nie... ale...

- Czy pańska żona chadza do fryzjera? I siedzi tam pod suszarką?

- Oczywiście. - Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Nie chcę pana straszyć jeszcze bardziej, ale pańska żona jest sto razy bardziej narażona na porażenie prądem niż pan na to, że moje znieczulenie zrobi panu krzywdę. Doktor Jake twierdzi, że jest pan przestraszony.

- Nie... ja nie...

- To nielogiczne. - Ujęła go za nadgarstek pod pretekstem zbadania pulsu, a w rzeczywistości po to, by dodać mu otuchy. - Wiem coś o tym. Ja, na przykład, boję się ciem. Panicznie. Na ich widok skóra mi cierpnie. Ale gdybym musiała je znieść, żeby wyzdrowieć...

- Przemogłaby się pani?

- Nie do końca. Na pewno bym krzyczała, machała rękami, zachowywała się skandalicznie. Ale gdyby było to naprawdę konieczne, poprosiłabym jakiegoś sympatycznego lekarza, żeby dał mi coś, co by sprawiło, że czułabym się jak w bajkowym śnie i nie zwracała uwagi na głupie ćmy.

Pacjent uśmiechnął się niepewnie.

- I pani mi da coś takiego?

- Tak, dam panu coś, co sprawi, że będzie pan bardzo zadowolony.

- I zasnę?

- Nie, nie zaśnie pan jak kamień, ale się pan zrelaksuje. A potem, jeśli pan się zgodzi, podam panu coś innego i wtedy na czas samego zabiegu będzie pan spał. Zaczynamy?

- Chyba tak.

- Proszę zamknąć oczy. Babs będzie trzymać pana za rękę, a ja pana ukłuję. Zobaczymy, czy mój magiczny środek zadziała.

Nie przestając mówić, obserwowała, jak z jego oczu stopniowo znika strach. Nawet udało się jej wywołać uśmiech na jego twarzy.

- Teraz krok drugi. - Pacjent przytaknął. Hura! Jake może zaczynać.

Operacja przebiegała w niemal absolutnej ciszy. Kirsty z zapartym tchem podziwiała wprawę i dokładność Jake'a.

Taki chirurg marnuje się w Dolphin Bay, pomyślała. Susie ma wielkie szczęście, że on będzie przy jej porodzie, bo w razie komplikacji...

- Już po wszystkim? - W oczach pacjenta znowu był bezgraniczny strach. Kirsty pochyliła się nad nim i ujęła jego dłonie. Mocno je ścisnęła.

- Skończone. Pokonał pan swój lęk. Przepuklina zlikwidowana, a w tym miejscu ma pan niewielki opatrunek. Jak się pan całkowicie wybudzi, może go pan sobie obejrzeć.

- Już po wszystkim?

Oczywiście. Operacja skończona. Teraz radziłabym trochę się zdrzemnąć.

Jego oczy w dalszym ciągu wyrażały niedowierzenie. Bał się, że Kirsty go zwodzi.

- To prawda, chłopie. - Jake stanął za nią, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Jesteś jak nowy. Dzięki naszej doktor Kirsty.

- Ona jest bomba - szepnął Francis, opuszczając powieki. - Superbomba.

Jake zrobił krok do tyłu, po czym ruszył do łazienki. Kirsty stała jeszcze przez chwilę, delectując się odczuciami, jakie wywołały jego palce na jej ramieniu.

On ma całą listę!

Ta przepuklina to tylko próba. Gdy przebrała się w swoje rzeczy, czekał na nią z kartką w ręce.

Dorothy Miller: żylaki

Mark Glaston: nowotwór komórek warstwy podstawowej

Scotty Anderson: kostniako-chrzęstniak.

- Co to jest? - zapytała ostrożnie. Może by przeszli do jego gabinetu? Na pewno ma tu gabinet. No tak, ale lam byliby sami. To nader ryzykowne.

- Kirsty, przepraszam. - Odgadł jej myśli. - Wczoraj zareagowałem zbyt gwałtownie.

- Owszem.

- Zostawmy ten temat.

- Co to za lista?

- Pani Miller ma potworne żylaki. Ma osiemdziesiąt lat i nie chce jechać do miasta. Markowi Glastonowi niedokładnie usunięto nowotwór na twarzy. Konieczny jest też przeszczep skóry. Mark ma niewidomą żonę i dwójkę drobiazgu, więc nie powinien wyjeżdżać z Dolphin Bay. Skoro jednak mamy ciebie, te zabiegi można przeprowadzić tutaj.

- Tym bardziej że już mnie sprawdziłeś - stwierdziła oschłym tonem.

- Tak.

- Kostniako-chrzęstniak?

- Scotty ma cztery lata i mamę, która samotnie wychowuje jeszcze troje dzieci. Jej też byłoby łatwiej, gdyby nie musiała jechać z nim do

miasta.

- Wygląda na to, że naprawdę mnie potrzebujesz.
- Chyba tak - mruknął wyraźnie speszony.
- Myślę, że mogę ci pomóc. - Zawahała się, ale zdecydowała, że należy poruszyć drażliwy temat. - Jake, uważam, że powinieneś nauczyć się ze mną rozmawiać. Nie przywykłam do ciszy. Przydałoby się trochę muzyki w sali operacyjnej. Albo plotek.

- Cisza pomaga mi się skoncentrować.
- Zwłaszcza na przepuklinie, bo to taki strasznie trudny i dramatyczny zabieg.

- Kirsty, przestań.
- To ty przestań.
- O co ci chodzi?
- Nie przeciągaj struny - ostrzegła go. - I nie zaczynaj o tym, że ja czuję to samo co ty, a to nierozsądne, albo że instynktownie czujesz, że ja cię pożądam, ale ty mnie nie chcesz, chociaż w rzeczywistości o niczym innym nie myślisz, lecz jesteś gejem...

Ktoś kaszlnął za ich plecami. Babs stała z ręką przy ustach. No i dobrze, pomyślała Kirsty, orientując się, że mocno się zagalopowała.

- Nie słuchaj tego, Babs. - Uśmiechnęła się do pielęgniarki. - Przyjechałam tu ze Stanów, a my, Amerykanie, jesteśmy znani z bezpośredniości. Zwróciła się do Jake'a. - Oczywiście, doktorze, że wykonamy te zabiegi. Kiedy pan zechce, ale nie teraz, ho teraz wracam do Angusa i Susie. - Poczula, że już ochłonęła. - Babs, nie przejmuj się, że podsłuchiwałaś. Nie składałam mu żadnych niestosownych propozycji.

Przez całą drogę do domu zastanawiała się, co wyprawiają jej hormony. Dlaczego tak reagują na tego jednego mężczyznę. Nie tylko Jake, ale i ona nie miała zamiaru z nikim się wiązać.

Wie to od dziecka. Kiedy ona i Susie miały po dziesięć lat, ich matka zmarła nagle na skutek wylewu krwi do mózgu. Bardzo to przeżyły, lecz ich ojciec, który matkę kochał nadzwyczaj, nigdy się z tego nie otrząsnął. Dwa lata później odebrał sobie życie, a one zaczęły tułać się po rodzinach zastępczych.

Miłość jest straszna, skoro robi takie rzeczy, myślała mała Kirsty.

Przysięgła sobie wtedy, że nikogo nie pokocha oprócz Susie.

Kiedy Susie poznała Rory'ego, na krótki czas uwierzyła w szczęśliwą miłość. Ale Rory zginął i znowu zaczęło się dla Kirsty odciąganie ukochanej istoty od krawędzi. Jej to nie spotka. Ona umawia się z bezpiecznymi mężczyznami, takimi, którzy nie angażują jej uczuciowo. Tylko dzięki temu nie zginie. Sympatyczny, bezpieczny Robert...

Jeśli Jake uważa, że ona zaryzykuje, inwestując w niego swoje uczucia...

Wybij to sobie z głowy. Nie słuchaj hormonów. Ten człowiek zagraża twojemu spokojowi. Ponadto jest bezgranicznie oddany dzieciom, a ty nie masz ochoty bawić się w mamuszkę. Nawet gdyby on był zainteresowany. Albo ty. Ale ty nie jesteś zainteresowana.

Gdy wjechała na zamkowy dziedziniec, z budynku wypadły dwie identyczne dziewczynki, by z piskiem radości ją powitać. I na co te postanowienia? Te małe są wyjątkowo słodkie.

- Zobaczyłyśmy cię z góry! - zawołała Alice. A może Penelope. Miały na sobie takie same džinsy i kurteczki oraz bardzo ubłocone buty. - Angus poszedł się zdrzemnąć, a Susie wysłała nas do niego, żebyśmy mu powiedziały, że Spike zgrubiał od wczoraj o pół cala. Margie mówi, że Spike będzie wielgaśny. A potem Boris wlaź z łapami na łóżko Angusa i wtedy Margie zobaczyła nasze buty i nazwała nas urwisami, i kazała nam zmykać, ale Angus powiedział, że lubi urwisy, i wtedy zobaczyłyśmy, że jedziesz, więc zmyknęłyśmy.

- Skakałyśmy po kilka stopni - wyjaśniła druga. - Fajne te schody. Penelope potrafi zeskoczyć z trzech schodków, a ja czasami, ale nie zawsze.

- Musisz ćwiczyć - powiedziała Kirsty, wysiadając z auta. Za bliźniaczkami ujrzała Susie, która stała o kulach w progu, szeroko się uśmiechając. Kirsty nagle sobie uprzytomniła, że i one dwie były kiedyś jak córeczki Jake'a. Szczęśliwe i beztroskie.

Tak jak ten uśmiech Susie, stwierdziła ze zdziwieniem.

- Margie powiedziała, że jak tylko wrócisz, to pojedziemy do domu. - Chwyciły ją za obie ręce i zaczęły ciągnąć w stronę drzwi. - Ale najpierw musisz zobaczyć Spike'a. On jest wielgaśny, a Susie mówi, że on będzie gigaśny.

- Gigaśny? - zapytała słabo Kirsty, na co Susie zachichotała. Cudowny odgłos. Już dawno Susie tak się nie cieszyła.

- Spike jest piękny - wykrztusiła.

- Możemy zostać na lunch? - zapytała jedna z bliźniaczek. - Zadzwońmy do taty i powiemy, że musimy. Margie pilnuje Spike'a i mówi, że jest szczęśliwa jak prosiak w kałuży, a to znaczy, że możemy tu zostać na lunch, jak ty się zgodzisz i tata.

- Co ty na to? - zapytała Kirsty swoją siostrę.
- One są fantastyczne.
- To miejsce jest fantastyczne - uzupełniła Kirsty.
- Dobrze się bawiliście z Jakiem?

Kirsty rzuciła siostrze podejrzliwe spojrzenie. Problem w tym, że bliźnięta znają się aż nadto dobrze.

- Operacja się udała.

Cieszę się - odparła Susie podejrzanie obojętnym tonem.

- Możemy zostać? - pytały dziewczynki. Susie, zadzwoń do Jake'a i go zapytaj.

- Ja? Dlaczego nie ty?

- Łączą nas bardzo chłodne stosunki. Więc nie myśl sobie Bóg wie co.

- Ja? Jak bym śmiała? Aha, dzwonił Robert. Żałował, że cię nie zastał. Wyjeżdża na weekend, ale w poniedziałek postara się zadzwonić.

- Ku zdziwieniu Kirsty Susie niezwykle wprawnie poruszała się o kucach. - Co ja słyszę? I to ma być ten gorący romans?

- Susie...

- Tak, tak, wtrącam się w nie swoje sprawy, ale jestem szczęśliwa i bardzo mi z tym dobrze.

Bliźniaczki, Margie oraz Ben zostali na lunch.

- Jake wcale nie był zachwycony - przyznała Susie. - Powtarzał kilka razy, że nie chce, żeby dziewczynki nam przeszkadzały, ale to przecież Margie się nimi zajmuje, a ona twierdzi, że woli niańczyć dzieci niż starszków.

Po lunchu zgodnie ruszyli do ogrodu pilnować Spike'a. Angus i Ben, siedząc na ogrodowej ławce, dyskutowali gorąco na temat różnych odmian dyni. Susie leżała na materacu, drzemiąc i od czasu do czasu

podziwiając babki z błota produkowane przez bliźniaczki. Margie szydełkowała na werandzie i słuchała ulubionego słuchowiska radiowego.

Prawdziwa sielanka, pomyślała Kirsty. Już miała o coś zagadnąć Susie, gdy rozległ się dzwonek domofonu.

- Nie ma nas w domu - ziewnęła Susie. - Nie trzeba nam gości.

To zapewne Jake, pomyślała Kirsty, ruszając w stronę wejścia. Po drodze jednak uprzytomniła sobie, że Jake ma swój klucz oraz pilota do bramy.

Gdy otworzyła drzwi, stanął przed nią sobowtór Rory'ego.

- Rory... - szepnęła bezwiednie.

To niemożliwe, bo Rory zginął pół roku wcześniej. Poza tym nieznajomy jest drobniejszej budowy, a jego włosy mają nieco inny odcień.

- Kenneth Douglas.

Wszystko jasne. Kirsty nie miała okazji poznać go wcześniej, a Susie widziała go tylko raz, na krótko przed śmiercią męża.

Dzień dobry. Jestem siostrą Susie.

- Susie? - zamrugał powiekami.

- Jestem siostrą Susie, żony Rory'ego. Kenneth zeszywniał.

- Żona Rory'ego jest w zamku?

- Tak.

- Bezprawnie.

- Angus nie ma nic przeciwko temu. - Nie mogła zatrzasać mu drzwi przed nosem. - Wszyscy są w ogrodzie. Zaprowadzić tam pana?

- Co to znaczy wszyscy?

- Pański stryj...

- Stryja tu nie ma - syknął. - Jest w domu starców. Wczoraj miał się tam przenieść. Angus jest w agonii.

- Nie wygląda na umierającego. Udało się nam go przekonać do tlenu i od tej pory znacznie mu się polepszyło. Dłubie teraz w ogrodzie.

Wiem od jego lekarza, że miał być przewieziony do domu spokojnej starości.

- Ale nie musi opuszczać zamku, dopóki tu jesteśmy.

- „My” to znaczy kto?

- Moja siostra i ja.
- Pani siostra nie ma prawa tu przebywać. Co ona sobie wyobraża?
Myślałem, że jest za bardzo pokieraszowana, żeby podróżować.
Wierzyłem, że mam ją z głowy.
- Panie Douglas...
- Gdzie ona jest? - Ruszył w stronę ogrodu tak wielkimi krokami, że Kirsty niemal biegła za nim. - Jeśli ona wtrąca się do leczenia staruszka... Jeśli myśli, że coś dostanie... Rory nie żyje, więc tylko ja mam prawo podejmować decyzje w kwestii jego leczenia. Tylko ja!
Kirsty rozpaczliwie szukała w myślach pretekstu, by go zatrzymać. Bezskutecznie. Pchnął furtkę i stanął jak wryty.
Angus i Ben omawiali odmiany dyni.
Bliźniaczki przerzuciły się z błotnych babek na błotne parówki i akurat się sprzeczały, czyja dłuższa.
Margie szydełkowała.
A Susie oparła się na łokciu, by zobaczyć, kto przyszedł.
Rozpoznawszy Kennetha, uśmiechnęła się z przymusem.
- Kenneth... - wyszeptała i z trudem usiadła. Spojrzawszy znowu na gościa, Kirsty dostrzegła, że jest wstrząśnięty, widząc jej siostrę. Zbladł i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała i nie pomogła usiąść na murku.
Ukrył twarz w dłoniach.
- Ty jesteś w ciąży - wysyczał z nieskrywaną nienawiścią. - Będiesz miała dziecko Rory'ego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bliźniaczki stanęły z otwartymi buziami, Angus wpatrywał się w bratanka, jakby ujrzał zjawę, a szydełko Margie zawisło w powietrzu.

- Kenneth - powiedział cicho Angus.

Do Kirsty dotarła ciepła nuta w jego głosie. On chyba kiedyś kochał tego człowieka. Gdy był dzieckiem?

- Miałeś umrzeć.

Czar tego słonecznego popołudnia przysł.

- Ale nie umarłem. - Angus dotknął dłonią pojemnika z tlenem, aby się upewnić, że ma go pod ręką.

- W zeszłym tygodniu dzwoniłem do tego konowala, który mi powiedział, że jesteś umierający i że przewiezie cię do domu starców.

- Powiedziałem, że Angus umrze, jeśli nikt się do niego nie pofatyguje.

Nikt nie zauważył, kiedy Jake znalazł się w ogrodzie. Stał teraz za plecami Kennetha.

- To ty! - Kenneth gwałtownie poczerwieniał. - Okłamałeś mnie!

- Kenneth, uważaj - ostrzegł go Jake. - Nie musisz obawiać się tych ludzi. Oni nie są przeciwko tobie. Popatrz, to są moje córeczki. - Starał się rozładować sytuację.

Grymas zajadłej wściekłości na twarzy Kennetha podpowiadał Kirsty, że ten człowiek jest psychicznie chory. Przecież nie stało się nic, co mogłoby wywołać taką złość.

Teraz Kenneth odwrócił się w stronę Susie.

- Ona jest w ciąży. W ciąży... - powtarzał.

- Tak. I urodzi dziecko Rory'ego. - odrzekł Jake opanowanym tonem. - Wszyscy bardzo się z tego cieszymy.

- To ona dostanie spadek... - Zakrztusił się. - Ona zgarnie spadek po Rorem...

Kirsty zorientowała się, że ten człowiek przestał myśleć logicznie.

- Ken, Rory nie żyje - tłumaczył mu cierpliwie Jake. - Susie niczego nie odziedziczy. Po nikim.

- Wyjdź z mojego ogrodu - odezwał się nagle Angus. Był blady jak płótno i kurczowo ścisnął pojemnik z tlenem, lecz wbrew pozorom głos mu nie drżał. - Jeśli zamierzasz ubliżyć żonie Rory'ego, wynoś się z mojego domu.

- To nie jest twój dom. Miałeś umrzeć.

- Jake... - powiedział Angus zmęczonym głosem, a Jake tylko lekko skinął głową.

- Ken, idziemy. - Jake spokojnym ruchem ujął intruza pod ramię, ale gdy ten próbował mu się wyrwać, wzmocnił uścisk. - Stary, nie jesteś tu mile widziany. Przecież wiesz, że jeśli w ten sposób traktuje się ludzi, to jest się niechcianym gościem. Chodź ze mną. Coś mi mówi, że przestałeś brać leki. Mogę ci pomóc. Porozmawiasz ze stryjem, jak czujesz się lepiej.

- Nie dotykaj mnie! - Kenneth wyrwał się Jake'owi i rzucił do przodu, w stronę furtki, więc Jake nie ingerował, ale przeczuł jego następny ruch i gdy Kenneth nagle się odwrócił, chwycił go za rękę i wykręcił mu ją do tyłu.

- Ken, jedziemy do szpitala.

- Nie trzeba...

Ktoś musi ci pomóc. - Jake zachowywał kamienny spokój. - Powinieneś brać leki. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, powiedziałeś, że bierzesz amizepin.

- Ona jest w ciąży... To moje...

- Kirsty, pomożesz mi odwieźć go do szpitala? Jake uśmiechnął się do przestraszonych bliźniczek. Pan Douglas jest chory. Boli go głowa i dlatego nie wie, co mówi. Kirsty i ja zawieziemy go do szpitala, gdzie dostanie lekarstwo, a wy zostanieie z Margie, Benem, Susie i Angusem, dobrze? Dziewczynki pokiwały głowami.

- Kirsty, poprowadzisz? Czy wolisz siedzieć z tyłu z pacjentem?

- Poprowadzę.

W szpitalu Jake zaaplikował Kennethowi odpowiednie leki, kazał położyć go do łóżka, po czym siedział przy nim, czekając, aż zaśnie.

Kirsty mogła wrócić do zamku, ale czekała na Jake'a, ponieważ chciała dowiedzieć się więcej o Kenie. Zrobiła sobie kawę i zasiadła przy stanowisku pielęgniarek.

- Myślałem, że pojechałaś do domu.
- Przyjechaliśmy tu twoim samochodem.
- Ktoś by mnie odwiózł.
- Chciałam, żebyś opowiedział mi o Kenie - przyznała w końcu. -

Dlaczego on tak nienawidzi Susie?

- On nienawidzi całego świata. Uważa, że cały świat jest przeciwko niemu. Angus mi opowiadał, że już jako dziecko był potworem, był tak zazdrosny o Rory'ego, że zamieniał jego życie w piekło. Ostatnio przez kilka lat nie odwiedzał Angusa, ale od jakiegoś czasu bardzo interesuje się jego zdrowiem. Podejrzywałem, że chodzi mu o spadek, a jego dzisiejszy występ to potwierdził. Moim zdaniem on jest ciężko chory.

- Co z nim zrobisz?

- Nie wiem. Dzisiaj zachowywał się tak, że dawniej skierowałbym go na przymusowe leczenie. Domyślałam się, że w Stanach jest podobnie. Wystarczyłoby udowodnić, że stanowi zagrożenie dla otoczenia oraz opinia dwóch zaprzysiężonych psychiatrów. Dzisiaj powinienem być pozwolić mu kogoś uderzyć. Wezwałbym wtedy policję, która by go aresztowała. - Wzruszył ramionami. - Na tę noc zatrzymam go w szpitalu. Dałem mu końską dawkę fenaktilu. Mógłby mnie podać do sądu, bo nie wyraził na to zgody, ale liczę, że obudzi się w lepszym nastroju. Przeszukam bazę psychiatrów i może znajdę jego lekarza. Skontaktuję się z nim i dowiem, jakie bierze leki.

- Jak on sobie radzi w życiu?

- Pytasz, czy często jest agresywny? Angus twierdzi, że nie. Pracuje w Sydney jako księgowy. Był dwa razy żonaty, chociaż obydwa związki się rozpadły. Z tego wniosek, że przez większość czasu zachowuje się w miarę normalnie.

- Ale nie dzisiaj.

- Prawdopodobnie w dziecku Susie dostrzegł ogromne zagrożenie. Angus i Susie są tak sobą zauroczeni, że umknęło im coś bardzo istotnego.

- O czym ty mówisz?

- Angus ma ogromny majątek. Za jego tytuł niejeden dałby sobie rękę odciąć. Poza tym ma zamki w Szkocji, których dzierżawa przynosi mu fortunę. Kiedyś mi powiedział, że wcale mu na tym nie zależy, że po prostu to jest w rodzinie. Twierdzi też, że Rory także nie przywiązywał do tego większej wagi. Kiedy Rory zginął, Angus był zrozpaczony, ponieważ następnym spadkobiercą...

- Jest Kenneth. O nie.

- Teraz to już nie jest takie pewne. To może być dziecko Susie.

- O matko...

- Od śmierci Rory'ego Kenneth żył w przekonaniu, że zostanie hrabią Loganaich. Dzisiaj zobaczył, że Susie jest w ciąży i zdał sobie sprawę, że się przeliczył. Obserwowałem jego twarz. Był bardzo zły, że Angus przystał na ten, że on jeszcze musi poczekać na testament. Ale kiedy połapał się, że Susie jest w ciąży, o mało nie zemdlał.

- Susie nie przyjmie tego spadku.

- Też tak pomyślałem. Wystarczy poznać ciebie, żeby się domyślić, jak ciepłą i serdeczną osobą jest Susie.

- Przestań. Nie znasz nas. Rory i Ken byli braćmi, a się bardzo różnili.

- Kenneth jest chory, a ty nie - powiedział, zniżając głos. - Kirsty...

- Jake, daj spokój. - Nagle poczuła się zagrożona na opustoszałym szpitalnym korytarzu. Co on mówi?

Co robimy z Kenem? - zapytała pośpiesznie.

- Nasze możliwości są ograniczone. Skontaktuję się z jego psychiatrą, a potem załatwię transport do jakiegoś szpitala psychiatrycznego. Miejmy nadzieję, że obudzi się pogodzony z nową sytuacją.

- Do wypadku Rory'ego nie liczył na spadek.

- Tego się trzymajmy. - Spojrzał na zegarek. - Chyba na razie zostawię Margie i dzieci w zamku - rzucił w zamyśleniu. - To odwróci ich uwagę od tego, co się wydarzyło i...

- Angus i Susie będą bardziej bezpieczni.

- No właśnie. - Pokiwał głową. - Przyszło mi do głowy, że dziewczynki, Margie i Ben mogliby zanocować w zamku. Zadzwoń do Angusa. Powiem mu, że to po to, żebyś mogła mi pomóc.

- Jeśli bliźniaczki zostaną w zamku...

- To ja też będę tam nocował. Dopóki Kenneth nie znajdzie się daleko stąd. - Zawahał się. - Przez niego czuję się nieswojo.

- Ja też.

- Chyba uda się nam przez parę dni trzymać ręce przy sobie.

Zesztywniała. Co on sugeruje?

- Moje ręce nie mają najmniejszego zamiaru sięgać w twoją stronę - obruszyła się. - Chyba tylko po to, żeby wytargać cię za uszy. Dawno nie słyszałam tak oburzających aluzji...

- Ty też to czujesz.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Wstała i pośpiesznie ruszyła do wyjścia.

- Jak dotrzesz do domu? - zawołał za nią.

- Na piechotę.

- Zaczekaj, odwiozę cię.

- Nie mam do siebie zaufania - mruknęła, nie zatrzymując się. - We dwoje w twoim aucie i ten wulkan namiętności... Będziemy zagrożeniem dla innych użytkowników dróg.

- Wulkan namiętności? - zdumiała się Babs, z którą Kirsty niemal zderzyła się w drzwiach. - Czy coś przegapiłam?

- Obydwie przegapiłyśmy - rzekła Kirsty. - Jake i ja przed chwilą przyjęliśmy psychicznie chorego pacjenta, ale na twoim miejscu zastanawiałabym się, kto kogo powinien leczyć. Obawiam się, że mamy do czynienia z przypadkiem „lekarzu, lecz się sam”.

Babs patrzyła za nią z otwartymi ustami. Ciekawe, jaką minę ma Jake. Kirsty nie ufała sobie na tyle, by odwrócić się i na niego spojrzeć.

Był to bardzo długi spacer, ale pod sam koniec odzyskała względny spokój ducha. Pod warunkiem, że nie myślała o doktorze Cameronie.

Być może Kenneth jest groźny, ale to jest prawdziwa forteca, pomyślała, zamykając za sobą ciężką bramę.

W łazience w swoim apartamencie popatrzyła na portret królowej Wiktorii.

- My dwie będziemy ich strzec - zwróciła się do monarchini. - Niepotrzebny nam żaden Jake Cameron.

Królowa wpatrywała się w nią z dezaprobatą. Ona miała swojego

księcia Alberta, a potem pana Browna. Czyżby sugerowała, że Kirsty powinna poszukać sobie partnera?

- Nikogo nie potrzebuję - oświadczyła Kirsty lekko speszona, po czym udała się na poszukiwanie lepszego towarzystwa niż dawno już nieżyjąca władczyni.

Okazało się, że Angus, Susie i bliźniaczki śpią. W końcu w kuchni znalazła Margie, która pod okiem Bena obierała ziemniaki.

- Jesteś na nas skazana - orzekła Margie. - Co myślisz o pasztecikach na kolację?

- Jake z wami już rozmawiał?

. - Doktor Jake zatelefonował do Angusa, a on nam wszystko powtórzył. To świetny pomysł, prawda, Ben? W przepastnym fotelu jej drobniutki małżonek był praktycznie niewidoczny.

- Kenneth wszystkich nas przestraszył - mówił. - Angus był przerażony. Nawet dynie przestały go interesować.

- Ale go pocieszyliśmy - wyjaśniła Margie. - Za to bliźniaczki stwierdziły, że się nudzą, więc zajęłam je zbieraniem jeżyn do prawdziwych babeczek. Wszyscy zajęli się zbieraniem jeżyn, a ja przez ten czas zagniotłam ciasto. Tak się najedliśmy, że nam uszami wychodzi. Babeczki dla was są w spiżarni.

Kirsty uznała, że plan, by wszyscy zostali w zamku, może się sprawdzić.

- Przeniesiecie się tutaj? - zapytała.

- A ty byś się nie przeniosła, gdyby cię zaproszono? - zdziwiła się Margie. - Nikt w całym dystrykcie nie odrzuciłby takiego zaproszenia. Ben i hrabia znają się od lat. I od nie wiem kiedy, porównują swoje dynie. Odkąd Bena gnębi artretyzm, mało mamy atrakcji, więc jak Jake zadzwonił... To dla nas jak wakacje. A skoro już tu jesteś, to pojedę do domu po nasze rzeczy.

- I podlej warzywnik - rozległo się z czeluści fotela.

- Wczoraj padało, więc nie trzeba - odparła spokojnie jego małżonka. - Sama widzisz, to żaden kłopot.

- Ale Jake... - zaczęła Kirsty. Nie mieściło się jej w głowie, by lekarz w trosce o pacjentów wprowadzał się do ich domu.

- Kenneth napędził stracha naszemu doktorowi. Margie uważnie jej

się przypatrywała. - Jemu też dobrze zrobi pobyt w zamku. Jego mieszkanie przy szpitalu jest bardzo ponure.

Dlaczego nie znalazł sobie lepszego lokum?

- Ze względów praktycznych. Jak tu przyjechał, kupił bardzo ładny dom kilka ulic od szpitala, ale jak został jedynym lekarzem w okolicy, w razie nocnych wezwań nie miał z kim zostawić dziewczynek. Ja i Ben opiekujemy się nimi za dnia, ale on jest bardzo niezależny i nie chce niani na stałe.

- Jak teraz sobie radzi?

- Mieszka przy szpitalu. Jak musi wyjechać w nocy, dziewczynki doglądają pielęgniarki. Ale mieszkając w szpitalu, dziewczynki muszą być cicho. Nie mogą poskakać sobie na schodach jak tutaj. Odrobina swobody bardzo dobrze im robi. - Zerknęła na Kirsty.

On potrzebuje żony. Ale nie oczekujemy cudu.

- Ja bym też nie oczekiwała - mruknęła Kirsty. - Jake to samotnik.

- On uważa, że jesteś całkiem fajna - zaskrzeczał Ben.

- Wszyscy uważamy, że Kirsty jest fajna - poprawiła go Margie, piorunując go wzrokiem. - Ben, nie baw się w swatkę. Dobrze wiesz, że z tego są same kłopoty.

- Kłopoty to kwintesencja życia. - Ben ziewnął leniwie. - Bez problemów byłoby nudno.

- Problemem jest Kenneth - rzuciła Margie.

- Problem problemowi nierówny. Jedne kłopoty człowieka gonią, ale można od nich uciec, za to w inne człowiek sam się pakuje. Czuję, że nasz doktor Jake znalazł się równo pośrodku i nie wie, co dalej. A i ty, dziewczyno, nie wiesz, co robić - stwierdził tajemniczo. - Warto tu posiedzieć i popatrzeć, co z tego wyjdzie.

Wbrew oczekiwaniom Kirsty kolejne dni były wyjątkowo spokojne. Jake z rodziną wprowadził się do zamku, ale widywała go tylko podczas posiłków.

Kenneth został wysłany karetką do Melbourne ze skierowaniem na badania psychiatryczne. Potem szpital psychiatryczny poinformował Jake'a, że pacjent doszedł do siebie i został wypisany. Mieszkańcy zamku przez dwa dni obawiali się jego powrotu, ale nic takiego się nie stało.

Trzeciego dnia przy kolacji Susie zwróciła się do Jake'a.

- Chyba już możecie wracać do siebie - powiedziała z nieskrywanym żalem.

Jake uśmiechnął się.

- Jeśli Angus się zgodzi, moglibyśmy tu jeszcze parę dni zostać.

Ciągle obawiam się tego szaleńca.

- Twoim dziewczynkom bardzo tu się podoba - zauważył staruszek.

- Dzięki nim zamek tętni życiem. - Nałożył sobie dokładkę duszonego mięsa. - I tak powinno być zawsze.

- Jeśli jesteś absolutnie pewien, że ci nie przeszkadzamy...

- Jake, ciebie prawie nie widuję, ale dziewczynki, Ben i Margie są wszędzie, co bardzo mnie cieszy. Ciebie w ogóle tu nie ma.

Pracuję.

- Podziel się z Kirsty. Ona rwie się do roboty.

- Już mi pomaga.

- Za mało - stwierdził Angus. - Posadź ją w przychodni.

- Dzisiaj robiła szczepienia.

To prawda. Tego dnia zaszczepili siedemdziesięcioro dzieci w miejscowej podstawówce. Dzięki temu Jake mógł wcześniej wrócić do swoich dzieci, ale niewiele miało to wspólnego z uprawianiem medycyny.

Na pewno mogłaby go wyręczyć w przychodni, ale problem w tym, że praca ramię w ramię z nim była nie na jej nerwy. Po kilku wspólnie przeprowadzonych zabiegach Jake tak zorganizował ich współpracę, że działali osobno.

Może nawet tak jest lepiej? - pomyślała, popatrując na siostrę. Jeśli jakiś czas przed rozwiązaniem Susie będzie przebywać w tak sprzyjającej atmosferze zamku, to może pozbędzie się depresji.

Nagle poczuła na sobie jej czujny wzrok.

Susie wyczuła, że jej siostra ma problemy, ale nie zadawała pytań. Margie oraz Ben milczeli. Podobnie Jake. W ciszy, która zapanowała przy stole, wyłowił niewypowiedziane pytania.

- Muszę iść - oznajmił, wstając nagle. Położył dłonie na główkach córeczek. - Mam przychodnię, panienczki. Margie ułoży was do spania.

- Dzisiaj poczyta mi Susie, a Penelope Kirsty - powiedziała Alice. -

Jutro się zamienimy.

- Mogę poczytać obu, jeśli Kirsty jest ci potrzebna - zaofiarowała się Susie, ale Jake już stał w drzwiach.

- Poradzę sobie.

Dni wlokły się Kirsty potwornie. Jeśli Jake chce pracować, sam, to niech pracuje. Najwyraźniej wycofał się z tego, co powiedział wcześniej: że bardzo jest mu potrzebna.

- Twoim zadaniem jest dbanie o zdrowie Angusa i Susie - oznajmił.

W porządku. Jednak Angus i Susie doskonale zajmowali się sami sobą. Oboje mieli trudności z chodzeniem. Wytoczyli więc ścieżkę wśród rzędów warzyw w taki sposób, by niemal co krok znalazł się jakiś punkt oparcia. Potem uzgodnili, co mogą zrobić najszybciej. Kirsty jako dyplomowany lekarz miała ich pilnować i w razie upadku podnosić. Ale jej pomoc ani razu nie była im potrzebna.

Dlaczego jestem taka nieszczęśliwa? - zastanawiała się w duchu. Susie wychodzi z depresji, Angus ma coraz mniej kłopotów z oddychaniem. Kenneth im nie zagraża. W tej chwili Angus i Susie ćwiczą się w chodzeniu, dwie małe dziewczynki przewracają się z Borisem na trawie, Ben pojechał do domu zająć się swoim warzywnikiem, Margie krząta się w kuchni, a ona, Kirsty, ma do czytania ciekawą książkę. Czego więcej potrzeba człowiekowi do szczęścia? I dlaczego nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o tym, co teraz robi Jake?

Chyba pojedę do Mavis, pomyślała, gdy wrócił Ben.

- Jake zagląda do niej każdego dnia - powiedział.

- Jak nie jestem potrzebna, to nie będę się narzucać odparła z godnością.

- Jedź, dziecko, jedź - poparła ją Margie. - A ty, Ben, nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

- Popilnujcie Susie i Angusa? Oboje szeroko się uśmiechnęli.

- To wyścig żółwi - zauważyła Margie, gdy Angus, robiąc cztery kroki bez trzymania się poręczy, przyspieszył, nieco wyprzedzając Susie.

- Sukces. Jasne, że będziemy ich pilnować. Idź już, kochana, i postaraj się być szybsza od tej pary zawodników. Kolacja będzie za godzinę, ale jak się spóźnisz, to poczeka w piekarniku.

Gdy dojechała na farmę Mavis, pod domkiem zauważyła samochód

Jake'a i znowu się rozzłościła. Jake powinien być teraz w szpitalu i zajmować się tymi ważnymi sprawami, które nie pozwalają mu więcej czasu spędzać w zamku. A może Mavis coś się stało? Na ganku zderzyła się z Jakiem.

Co tu robisz?

Wydawało mi się, że poleciłeś mi być z Mavis w kontakcie.

Owszem, ale myślałem, że jesteś w zamku.

Nie jestem - burknęła. - Jak nasza pacjentka?

Siedzi w łóżku z dwójką wnucząt oraz z ze-stawem „Maluj jak Rembrandt według cyfr”. - Uśmiechnął się z przymusem. - Wszystko jest upaprane farbami, a jej córka udaje, że zrzędzi. Chcesz to zobaczyć?

Jasne. - Już miała się uśmiechnąć, jednak w porę sobie przypomniała, z kim ma do czynienia. - Ale nie będę cię zatrzymywać. Na pewno jesteś bardzo zajęty.

- Nie aż tak, żeby nie popatrzeć, jak zareagujesz na swoje dzieło. Jest pani wielka, pani doktor.

Mijając go w drzwiach, poczuła, że się czerwieni. Powinna jak najszybciej wracać do Stanów, bo zwariuje.

Weszła do sypialni chorej i stanęła jak wryta. Scena wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Jake. Mavis, jej wnuczęta oraz córka powitali ją uśmiechem. Wszyscy bez wyjątku.

- Niczego nie musimy zmieniać? - zapytała Kirsty, tłumiąc wzruszenie.

- Nie, kochana. Czuję się wyśmienicie.

To jeszcze może się zmienić, pomyślała Kirsty. Przerzutów będzie coraz więcej i dawkę morfiny trzeba będzie zmieniać codziennie, do końca dni chorej, ale teraz może cieszyć się życiem. Kirsty zajmie się morfiną później. Będzie dopasowywać dawki do porodu Susie, a potem wyjedzie.

- Przed wyjazdem musisz mnie tego nauczyć - szepnął Jake, jakby czytał w jej myślach.

On myśli podobnie jak ja! Dlaczego musiała poznać takiego człowieka? Który na dodatek nie jest zainteresowany. Przecież ona mieszka na drugiej półkuli. I z nikim nie chce się wiązać. Idiotyczna sprawa.

Ciekawe, czy on myśli to samo.

- Oczywiście. Zapoznam cię z najnowszymi metodami walki z bólem - powiedziała, uśmiechając się do Mavis. - Czy mogę wam na chwilę przerwać? Mavis, czy coś cię boli?

- Trochę dokucza mi biodro, ale teraz jest o wiele lepiej niż tydzień temu, więc nie narzekam.

- Doktorze, czy może pan zabrać tę dwójkę przyszłych mistrzów pędzla na krótki spacer? Chciałabym porozmawiać z ich babcią o bolącym biodrze.

Gdy zostały same, wypytała starszkę o biodro oraz zapewniła ją, że nad bólem można panować tak długo, jak to będzie potrzebne.

- Na pewno zajdzie konieczność zmian w tym koktajlu, ale to jest do zrobienia. Zanim wyjadę, zostawię instrukcję Jake'owi. On jest bardzo dobrym lekarzem.

- Wolałabym, żebyś u nas została - westchnęła Mavis.

Gdy wyszła na dwór, słońce chyliło się już ku zachodowi. Zrobiło się chłodniej. Popatrzyła na zegarek i stwierdziła, że powinna wracać na kolację. Jednak na werandzie czekał na nią następny pacjent. Jake rozmawiał ze starszym, zaniedbanym mężczyzną, zapewne farmerem.

- Idzie nasz drugi lekarz - powiedział nieznajomy na jej widok. - Barbara mówiła, że Jake dzisiaj przyjedzie, to wypatrywałem na drodze jego samochodu. A teraz jest was dwoje.

- Herbert mieszka za tym wzgórzem - wyjaśnił Jake niemal przeproszającym tonem. - Herbercie, to jest doktor McMahon. Herbert nie lubi przychodni, bo tam trzeba czekać.

- Żonka każe mi się kąpać przed wizytą w przychodni. Taka wizyta to zmarnowany cały dzień. Coś mi się zrobiło na nodze i moja pani powiedziała, że jutro zawlecze mnie do doktora. Ale jak już tu jesteście...

- Podciągnął nogawkę, obnażając paskudnego krwiaka z jątrzącą raną w środku i jadowicie czerwonymi pręgami biegnącymi w kierunku krocza.

- Co się stało? - zapytał Jake.

Tej scenie przyglądała się Barbara oraz dwójka jej dzieci. To są wiejskie dzieci, pomyślała Kirsty. Dziecko z Nowego Jorku na pewno już by zemdlało, a te przyglądają się z wielkim zainteresowaniem.

- Kopnęła mnie klaczka. W poniedziałek. Powinienem stanąć przy

niej bardziej z boku, ale na stare lata ruszam się coraz wolniej. Żonka zobaczyła to wczoraj, wpadła w panikę i powiedziała, że jak nie pójdę do lekarza, to noga mi odpadnie. Więc przyszedłem.

- Pewnie nie zgodzisz się na szpital. - Jake był bardziej rozbawiony niż zagniewany uporem farmera. - Barbaro, masz coś przeciwko niewielkiej operacji na twojej werandzie?

- To jest mamy weranda - odpowiedziała kobieta, z uśmiechem popatrując na staruszkę, która obserwowała ich przez okno. - Jeśli nie przeszkadza wam publika...

Wykonywali ten zabieg pod czujnym okiem dwójki maluchów i przy akompaniamencie gdakania kur. Przez cały czas Herbert dyskutował z Barbarą na temat sytuacji na rynku skupu cieląt.

- W zeszłym tygodniu moje fryzy poszły po pięćdziesiąt dolarów za sztukę - żalił się. - A twój chłop dostał po siedemdziesiąt.

- Bo my je dobrze karmimy, a ty jesteś skąpiradło i nie dajesz im tego, czego im trzeba.

- Czego ja im nie daję? - obruszył się Herbert.

- Serca, Herbercie, serca. Nawet własną nogę źle taktujesz.

Ile jest ciepła w tej wymianie zdań, pomyślała Kirsty. Tutaj wszyscy są serdeczni. Jake opiekuje się nimi, a oni nim. Tak, on ma rację, twierdząc, że jest to najlepsze miejsce dla dzieci.

A jeśli Susie postanowi tu zostać? Niby dlaczego miałyby chcieć tu zostać?

Po co miałyby wracać do Stanów?

Przecież nie do rodziny, pomyślała ze smutkiem. Nie mają na tym świecie nikogo oprócz siebie.

Tutaj Susie ma Angusa, Margie, Bena, Jake'a, ogród oraz ludzi gotowych ją pokochać.

To niewykluczone, że Susie tego trzeba.

Co wtedy stanie się z nią?

Dom jest tam, gdzie jest serce.

Co takiego jest w Nowym Jorku, do czego rwie się jej serce? Robert?
Hm.

Och, przestań, skarciła się w myślach, obserwując, jak Jake zakłada Herbertowi opatrunk.

Jutro rano przyjdź do przychodni na zmianę opatrunku - powiedział Jake.

Doktorze, przecież ja nie mam czasu. Jak się nie pokażesz, zadzwonię do Maudie, a wtedy będziesz miał się z pyszna.

Razem z Jakiem pomogła wstać Herbertowi, który niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Sięgnął do kieszeni po kluczyki, ale Barbara błyskawicznie wyrwała mu je z ręki.

Poproszę Sama, żeby cię odwiózł. Skończył już dojenie. - Herbert otworzył usta, by zaprotestować.

Jutro rano odbierzecie auto, jak będziecie z Maudie wracać od doktora. A jak dowiem się od niej, że o siebie nie dbasz, to nigdy tych kluczyków ci nie oddam.

Farmer spiorunował ją wzrokiem.

- Cholerne baby - mruknął z uśmiechem. - Dobrze robisz, Jake, że drugi raz nie dałeś się zaobrączkować. - Popatrzył z uznaniem na Kirsty. - Ale nie trać czujności.

- Postaram się. - Jake jak oparzony puścił jego ramię.

- Ona jest niezła. Rozumiem, dlaczego tyle o was gadają.

- Kirsty, nie gniewaj się - wtrąciła się Barbara. - Nie miej Herbertowi ani nam tego za złe. Cała okolica od lat stara się ożenić Jake'a. Wystarczy, że zobaczymy niezamężną kobietę, a już zaczynamy go swatać. Nie psuj nam tej przyjemności.

- Nie gniewam się, ale dziwi mnie, że wpadliście na tak absurdalny pomysł.

- Absurdy to specjalność tej okolicy - stwierdził kwaśno Jake, ale akurat wtedy zadzwoniła jego komórka. - Cholera, oby nie kolejny zabieg. - Przyłożył telefon do ucha. - Chyba żartujesz. Powinienem cię natychmiast zwolnić - Westchnął. - Dobrze. Umrzemy z głodu. Nie, nie przejmuj się. Uschniemy, ale jako męczennicy. - Schował telefon. - Tragedia - zwrócił się do zebranych.

- Tragedia? - zapytała Kirsty. W jego oczach dostrzegła iskiereczki, które przeczyły jego słowom.

- Angus i Susie czują się lepiej.

- Nazywasz to tragedią?

- Margie zrobiła na kolację zupę oraz krokiety z mięsem, a oni byli

tacy głodni, że wszystko zjedli. Posmutniał. - To znaczy, Kirsty, że zostaliśmy bez kolacji. Margie kazała nam pożywić się rybą i frytkami, zanim wrócimy do domu.

- Zjedzcie u mnie - zaproponowała Barbara. Wiejska gościnność, pomyślała Kirsty. Ta kobieta

ma na głowie dzieci, farmę oraz umierającą matkę, i jeszcze potrafi pomyśleć o nakarmieniu obcych.

- Margie zrobi nam jajka na grzance - powiedział Jake z westchnieniem męczennika. - Doktor McMahon i ja jesteśmy herosami, nam wystarczy kawałek suchego chleba ze smalcem i herbata z trzeciego parzenia. Ryba z frytkami to dla nas uczta.

Idźcie na plażę - podsunął im Herbert. - Żonka i ja bardzo to lubimy. Co piątek idziemy z winem na plażę i dziewięć na dziesięć razy kończy się to bardzo przyjemnym Bara-bara. - Nagle zorientował się, co mówi. - To znaczy, tak było, jak byliśmy młodszy.

Super, pomyślała Kirsty. Ryba, frytki i bara-bara z Herbertem.

- Przyda się wam - odezwała się Mavis, wyglądając przez okno. - Gdybym miała czterdzieści lat mniej, to bym z wami poszła.

Ryba, frytki i bara-bara z Herbertem oraz Mavis? Albo ryba i frytki z Jakiem na plaży. Bardzo niebezpieczny pomysł.

- Kupimy rybę z frytkami i pojedziemy do domu - oświadczyła, ale Barbara pokręciła głową.

- Może najedli się krokietami, ale jak zobaczą rybę i frytki, to znowu zgłodnieją. I nic wam nie zostanie. Niech ją pan, doktorze, lepiej zabierze na plażę.

- Tak, tak, doktorze - poparł ją Herbert. - Niech ją pan zabierze na plażę.

- Nie mam ochoty na rybę - stwierdziła Kirsty z godnością, ale wszyscy ją zakrzyczeli.

- Jesteś głodna? - zapytał Jake, gdy się uciszyli, a ona pokiwała głową. - Wobec tego ryba, frytki i plaża.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Jake kupował rybę, Kirsty rozejrzała się po skwerze, przy którym znajdowały się budki z jedzeniem. Niewielki skwer miał kształt trójkąta: na jednym boku plaża, na drugim rzeka i przystań, a na trzecim miasteczko. To połączenie buszu, sennej osady i portu podobało się jej coraz bardziej.

Drwiący krzyk papug w konarach drzew sprawił, że poczuła się nieswojo. Co ona tu robi?

Oboje zdają sobie sprawę, że wkroczyli na niebezpieczne terytorium. Daj spokój, to tylko ryba z frytkami.

Usiadła przy stoliku. Gdy Jake z szerokim uśmiechem postawił okazałą torbę z jedzeniem oraz butelki z lemoniadą, wcale nie poczuła się bezpiecznie.

- Lepiej zabierzmy to do domu - powiedziała.

- O nie. Barbara miała rację. Te potwory wszystko nam zjedzą, a ja konam z głodu.

Ona też. Gdy otworzył torbę i w jej nozdrza uderzył smakowity zapach, uznała, że za nic w świecie nie zrezygnuje z takiego posiłku.

- Ale uczta - szepnęła. - Od początku ciąży Susie nic nie chce jeść. Na widok smażonego robi się jej niedobrze, więc mój jadłospis jest wyjątkowo nieciekawym. Od dawna marzy mi się porządny posiłek o dużej zawartości węglowodanów.

- Miło mi, że mogę spełnić twoje marzenie. - Nie spuszczał jej z oka.

- O co ci chodzi? - zapytała, gdy w papierowej torbie ukazało się dno. - Gapisz się, jakbyś nigdy nie widział człowieka, który je frytki.

- Ale nigdy takiego jak ty.

- Popatrz sobie na Susie, ona jest identyczna.

- O nie. Susie wcale nie jest taka sama.

- Bo jest w ciąży i niepełnosprawna? Przejdzie jej to. I Susie wyjdzie

z tego o wiele silniejsza ode mnie.

- Dlatego, że życie jej nie rozpieszcza? Uważasz, że ty nie jesteś tak samo silna?

- Nie jestem.

- Kiedy zadzwoniłem do hospicjum po twoje referencje, usłyszałem same pochwały. Mądra, troskliwa, ambitna, kandydatka na najmłodszego ordynatora w historii placówki. Masz opinię osoby, która walczy jak lwica o to, żeby twoi pacjenci otrzymali wszystko, co jest im potrzebne, aby godnie przeżyli ostatnie dni swojego życia. - Zawahał się. - Ale trzy miesiące temu stamtąd odeszłaś i kto inny zajął twoje miejsce.

- Wszędzie jest praca - odparła lekko speszona.

- Nic wielkiego się nie stało.

- Kobieta, z którą rozmawiałem, była innego zdania. W jej opinii rezygnacja z takiej kariery jest równoznaczna z zawodowym samobójstwem.

- Nonsens - mruknęła. Jakim prawem on się wtrąca w jej prywatne życie? I budzi jej własne wątpliwości?

- Jest w tym ziarno prawdy. Praca na takim stanowisku oznacza kompletne odcięcie się od świata. Przez jakiś czas jak durna tkwiłam w tej pułapce. Bo najważniejsza jest rodzina.

- Moja była żona nadal jest durna.

- Jej strata. - Wzruszyła ramionami. Nie wiadomo dlaczego, ogarnęła ją złość. Zebrała puste opakowania ze stołu, wstała i cisnęła je do pojemnika na śmieci.

Idę na plażę, a ty wracaj do domu.

- Oddalasz mnie?

- Tak. Jeśli zobaczą nas razem na plaży, uznają sprawę za oczywistą.

- Widzę, że zaczynasz pojmować, z czym ja się borykam.

- Możliwe. - Zdjęła buty i zaczęła podwijać nogawki džinsów. Gdy się wyprostowała, zobaczyła, że Jake robi to samo. - Miałeś iść do domu.

- Te potwory zjadły moje kokiety. Nasze kokiety. Nie ma czytania na dobranoc dla pożeraczy krokietów.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nawet nie zauważą, że cię nie ma. - Złagodniała. - Chętnych do czytania twoim bliźniaczkom nie brakuje. Wielu osobom sprawiłeś wielką radość, wypożyczając im swoje dzieci.

- To zasługa Kennetha - zauważył półgłosem.
- Niedługo o nim zapomnisz i wszyscy wrócą do swoich domów.
- Kto się wybiera do domu? - zapytał niewinnym tonem. - Jestem za tym, żeby iść na plażę. A ty?
- W przeciwne strony?
- Oczywiście. Mam przywieźć Borisa, żeby pełnił rolę przyzwoitki?
- Przydałoby się.
- Ale jak pokażę się w zamku, wszyscy zapragną iść z nami na plażę.
- To dopiero byłoby wydarzenie... A my wcale tego sobie nie życzymy, prawda, doktorze?

Był to bardzo długi spacer, którego znakomita część upłynęła jej na rozmyślaniach. Przez tyle czasu żyła w ciągłym stresie, zamartwiając się stanem duszy i ciała Susie, więc ten tydzień w Dolphin Bay powinna traktować jak dar niebios. Owszem, w jej myślach • panuje zamęt, ale nareszcie nie wywołany troską o Susie.

Poza tym znowu ma kontakt z pacjentami. Co więcej, po wielu, wielu latach czuje się jak w rodzinie, przede wszystkim dzięki temu mężczyźnie.

- O czym myślisz? - Niespodziewanie wyrwał ją z zadumy.
- O tym, że to jest fantastyczne.
- Co takiego?
- Szczepienie dzieciaków w szkole. Wyścigi An-gusa i Susie.

Zwiedzanie zamku w towarzystwie bliźniaczek i Borisa.

- Im też się to podoba. - Czerwona kula słońca powoli ginęła za odległymi górami. - Pora wracać.

Zawrócili. Dlaczego on nic nie mówi? Zachowuje się, jakby się jej bał.

- Powiadasz, że już nigdy z nikim się nie zwiążesz - powiedziała cicho, ale nie doczekała się reakcji.
- Czy mam powtórzyć?
- Udawałem, że nie słyszę.
- Chyba mam prawo zapytać? - obruszyła się.
- Nie zapominaj, że mam męża i szóstkę drobiazgu.
- Zapomniałem. - Trochę się rozchmurzył. - Pewnie dlatego, że nie nosisz na szyi medalionu z ich zdjęciami.

- Za ciężki - odrzekła rezolutnie. - Kark by mnie rozboleł.
- Ale gdybyś nosiła taki medalion, to ludzie by o nas nie gadali.
- Zdaje się, że bardzo cię to denerwuje.
- Owszem - przyznał. - Bo wszystkie tutejsze niezamężne kobiety po kolei usiłują mnie usidlić. Przeniosłem się tu zwabiony złudzeniem, że w małym miasteczku panują bardziej ludzkie stosunki, i na to nie narzekam.

- Dlaczego przejmujesz się plotkami? Czy to takie ważne? Co by się stało, gdyby ktoś zobaczył, że z kimś się całujesz i odpowiedziałby, że masz romans?

- Mam dzieci.

- One mają cztery lata. Chyba nie sądzisz, że by je to zdemoralizowało.

- Ale ta kobieta może niewłaściwie ocenić sytuację...

- Boisz się, że jak którąś dotkniesz, to ona natychmiast ubzdura sobie, że chcesz się żenić. Chyba jesteś... bezczelny.

- Zapewne. A ty złośliwa.

- Jasne.

- To znaczy, że gdybym cię pocałował, nie pomyślałabyś, że coś z tego wyniknie?

Zastanowiła się.

- No nie - powiedziała ostrożnie. - Bo w Stanach czeka mąż i sześcioro dzieci.

Jake wskazał ręką na przystań, nad którą znajdował się rozległy parking. Mieszkańcy Dolphin Bay często na nim się zatrzymywali, by sprawdzić wysokość fali, ruchy odpływu i przyływu, wypatrywali stamtąd rybackich kutrów. O każdej porze dnia ktoś tam się kręcił. W tej chwili stało akurat kilka samochodów.

- Wiesz co? - zaczęła. - Gdybyś mnie pocałował teraz, miałbyś spokój raz na zawsze.

- Jakim cudem? - Przystanęli.

- Do jutra dowiedziałyby się o tym cała okolica. Doktor Jake ma romans z tą nową lekarką. A potem nic. Lekarka wyjedzie do Stanów. Przez całe lata mógłbyś mieć pretekst w postaci złamanego serca.

- Dzięki.

- Drobiazg. Chciałam się poświęcić dla dobra ogółu. Nie ma lepszej osłony niż złamane serce. Albo...

- Zawahała się. - Opowiem wszystkim, że wiedziałeś, że mam rodzinę. To by poskutkowało. - Rzucił jej zdziwione spojrzenie. - Bo wszystkie matki ostrzegałyby przed tobą swoje córki. Dziecko, nie zadawaj się z nim, bo on rozbija małżeństwa.

- Nieźle to sobie wymyśliłaś.

- Staram się pomóc.

- Dlaczego?

- Bo widzę, że cierpisz. Łagodzenie bólu to moja specjalność.

- Dlaczego myślisz, że cierpię?

- Odnoszę wrażenie, że jesteś cholernie samotny - wypaliła. - Myślę, że odchodząc, żona wyrządziła ci wielką krzywdę, a ty przed tym samym chcesz uchronić dziewczynki. Nie chcesz się wiązać, zasłaniając się strachem przed plotkami.

- Nonsens.

- Tak? Naprawdę, Jake? Praktycznie sam mi to powiedziałeś.

Ledwie się poznaliśmy, a ty od samego początku trzymasz mnie na dystans, mimo że między nami iskrzy. Odłóżmy na bok moje liczne potomstwo i podaj mi sensowny powód, dla którego teraz mnie nie całujesz. Przecież oboje tego chcemy. - Odwróciła wzrok. Co ją napadło? Samotność i strach minionych miesięcy chyba pchnęły ją na skraj przepaści. Jeszcze chwila, a będzie tak szalona jak Kenneth.

- Kirsty...

- Słucham.

- Jeśli zaraz cię nie pocałuję, będę zmuszony cię udusić. - W jego głosie było więcej rozdrażnienia niż pożądania. - Popatrz na mnie i daj się pocałować.

Pocałował ją! Oszalał. Zdumiał. Dał się sprowokować, chociaż rozsądek nakazywał mu odejść od niej jak najdalej.

Był oszołomiony. Wdarła się w jego życie i rozpałała coś, co chyba nawet nigdy w nim się nie żarzyło. Myślał, że kocha, gdy się żenił, ale wtedy nie czuł tego co teraz.

Wytknęła mu, że się boi. Miała rację. Od kiedy został sam z dwójką dzieci, waży bardzo ostrożnie każdą decyzję. Ale nad Kirsty nie da się

zapanować. Oblęd. Ten pocałunek nie miał większego sensu, ale ona stała tak blisko, a w jej oczach tliła się lekka drwina. Ona na to czekała. Na to samo czekali ludzie na parkingu. Kirsty rzuciła mu wyzwanie, a on nie mógł go nie podjąć.

Gdy ją objął, pomyślał, że zna ją od dawna, ale dopiero teraz ją spotkał, a potem przestał myśleć. A ona...

Ujęła jego twarz w dłonie. Kontakt z jego zarostem sprawił, że przeszył ją dreszcz. Jakie to podniecające...

Całowała się z mężczyznami. To oczywiste. Ale żaden pocałunek nie był tak naładowany erotyczną energią.

Mogłaby go tak całować do końca świata. To niebywałe, że nie odsunął się, tylko całował ją coraz namiętniej, najwyraźniej pragnąc jej tak bardzo, jak ona jego.

To nie potrwa długo. Przecież robią to dla widzów z parkingu, przemknęło jej przez myśl. Za chwilę ich wargi się rozłączą, a wszystkie jej oraz jego argumenty przeciwko wiązaniu się z kimkolwiek wysuną się na plan pierwszy i życie potoczy się normalnym torem.

Ujął jej dłonie i oderwał wargi od jej ust.

- Myślisz, że ich usatysfakcjonowaliśmy? - spytał z szerokim uśmiechem, mimo że w jego oczach wyczytała niepewność.

- Nie. - Bała się, by nie wyczuł, co się z nią dzieje. - Zadowolisz ich tylko wtedy, kiedy zedrzesz ze mnie ciuchy i weźmiesz mnie tu na tej plaży.

- Chcesz, żebym to zrobił? - Oboje wiedzieli, że to jest możliwe. Kiedy indziej, gdzie indziej...

W innym życiu.

- Nie wiem, czy odpowiada mi rola nierządnic z Dolphin Bay - westchnęła, opuszczając ręce. - Ale na pewno wzmocni to twoją reputację. Kopulacja na oczach tłumu? Żadna matka nie pozwoli swojej córce na to, żeby do ciebie podeszła, chyba że po szczepionkę przeciwko grypie.

- Wobec tego wstrzymajmy się.

Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę parkingu. Zanim tam dotrzemy, wszyscy się rozjadą, pomyślała. Języki pójdą w ruch.

- Twierdzisz, że to zniechęci przychylnych mi swatów i swatki? -

szeptał, mocniej ściskając jej dłoń.

- Przez najbliższe tygodnie będą uważali, że jesteśmy parą. To jasne, że ze sobą sypiamy. Potem, kiedy wyjadę, będziesz miał złamane serce jak wtedy, gdy odeszła od ciebie żona.

- Będziesz moją utraconą miłością?

- Chyba do tego się nadaję?

- Mhm.

- No widzisz. - Dużo wysiłku ją kosztowało, by zabrzmiało to beztrąsko. Była bliska łez.

Dzięki Bogu zadzwoniła jego komórka. Kirsty oddaliła się od niego o parę kroków. Jednocześnie wydawało jej się, że od strony parkingu dobiegło ją westchnienie rozczarowania. Czy potrafi tu mieszkać i pracować, przez okrągłą dobę czując na sobie wzrok całej społeczności? Raczej nie. Chyba że...

Nie tędy droga, pomyślała. Ruszyła biegiem na skraj plaży. Gdy Jake doszedł do niej, wkładała buty. Koniec udawania.

- Pyszna ryba i pyszne frytki - powiedziała. - Oraz bardzo przyjemny spacer i pocałunek. Dziękuję, doktorze.

- Tylko tyle? Konsultacja zakończona?

- Domyślam się, że ktoś na ciebie czeka.

- Mała Emily Cannon chora na krup.

- No właśnie. Zobaczymy się w zamku. - To bardzo wątpliwe. Pokój Jake'a i bliźniaczek znajdował się na piętrze przez ścianę z sypialnią Angusa. Kawał drogi od jej pokoju. - Chyba że potrzebujesz mojej pomocy przy Emily.

- Krup nie wymaga anestezjologa.

- Jeszcze pamiętam wykład na temat krupa.

- Nie będziesz mi potrzebna. Trudno o bardziej oczywistą odprawę.

- Zatem dobranoc, doktorze.

- Dobranoc.

- Uścisnęłabym ci dłoń, ale publiczność już się rozeszła. - Wskazała na pusty parking. - Szkoda marnować taki gest.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę swojego auta, by zachować resztki godności.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To była bardzo długa noc.

Kirsty nie mogła zasnąć. Zastanawiała się nad swoim postępowaniem. Zapominając o honorze, zachowała się jak idiotka.

- Było fajnie - mruknęła, starając się zbagatelizować to, co wydarzyło się minionego dnia. - Jemu też się podobało. Jesteśmy dorośli. Wyglądaliśmy się z myślą o plotkach.

- Może taka była jego intencja, ale sama wiesz najlepiej, że ty niczego nie udawałaś.

Jakiś czas później, zgodnie z już utartym zwyczajem, zajrzała do pokoju Susie, która, jak się okazało, też cierpiała z powodu bezsenności.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Kirsty, na co siostra odpowiedziała jej uśmiechem.

- Nic, ty durna. I na tym polega problem.

- Jak to?

- Rory junior ćwiczy kopniaki z narożnika - wyjaśniła. - Poza tym po raz czwarty musiałam iść na siusiu. A teraz leżę i rozmyślam. Odkryłam, że nagle życie nabrało sensu. Odrobinę - dodała, by siostra nie wyciągnęła z tego wyznania zbyt pochopnych wniosków. - Ten czas w tym zamku... Jakbym wynurzała się z gęstej mgły. Powoli, ale na coraz dłużej.

- To bardzo dobra wiadomość. - Kirsty przysiadła na łóżku. - Depresja to koszmarna choroba. Tak się o ciebie bałam... Chyba dalej jestem pełna obaw.

- Że znowu pochłonie mnie ta otchłań - szepnęła Susie. - Też się tego boję. To wspaniałe, że noszę ten okruszek szczęścia, ale on mi też przypomina, że Rory nie żyje. Nie zobaczy swojego dziecka. W takich chwilach czuję, że nie mam prawa żyć.

Nikły snop światła wpadający z korytarza przez niedomknięte drzwi

zasłonił czyjś cień.

- Jake - powiedziała Susie z uśmiechem.

Stał w drzwiach z Borisem przy nodze. Pies wymachiwał ogonem. Czekał na powrót pana w holu i teraz cieszył się jego obecnością.

- Susie, czy coś się stało? - Dopiero teraz dostrzegł Kirsty. - O, przepraszam. Widzę, że jest przy tobie twój nadworny lekarz. Idę do siebie.

- Zapraszam - powiedziała Susie. - Przysiadź się do nas.

Cholera, pomyślała Kirsty, ale zrobiła mu obok siebie miejsce. On jednak stanął z drugiej strony łóżka.

- Naprawdę wszystko w porządku?

- Słowo honoru. Postanowiliśmy z Angusem, że jutro udamy się do tej twojej znajomej fizjoterapeutki.

To wielki krok naprzód, pomyślała z uznaniem Kirsty. Do tej pory oboje, Susie i Angus, kategorycznie odmawiali skorzystania z tej formy pomocy. Ale Jake przekonał Angusa, że fizjoterapia dobrze robi Susie, a jej z kolei powiedział, że fizjoterapia może przedłużyć życie Angusowi. Okazuje się, że we dwoje, wspierając się nawzajem, są skłonni poddać się tym zabiegom. Oto co potrafi Jake Cameron.

Korzystając z nieuwagi ludzi, Boris wsunął się na łóżko w miejscu, które Kirsty przeznaczyła dla Jake'a. Podczołgał się do Susie i zniemacka liznął ją po twarzy.

- Auuu - zachichotała.

Jak dobrze jest słyszeć jej śmiech, pomyślała Kirsty.

- Susie ma wyrzuty sumienia, że znowu coś ją cieszy - poinformowała Jake'a. - I dręczy ją to, że Kory nie dzieli z nią tych chwil radości. Ona się boi, że znowu popadnie w depresję.

- Wiem, jak zdradliwa bywa depresja. Pamiętam, jak nie mogłem się pogodzić ze śmiercią siostry.

- Twoja siostra nie żyje? - zainteresowała się Susie.

- Zginęła w wypadku drogowym. Miała szesnaście lat. - Zawahał się. - Kumple po raz pierwszy od jej śmierci wyciągnęli mnie do kina. Konaliśmy ze śmiechu. Kiedy wyszliśmy z kina, pomyślałem: „Elly nie obejrzy tego filmu”. Ta nagła świadomość była lak dojmująca, że dostałem torsji. W ten sposób organizm zareagował na stres.

- Koledzy tego nie rozumieli - szepnęła Susie.
- Powiedziałem im, że coś mi zaszkodziło. Myślę, że uwierzyli, bo tego nie da się zrozumieć, dopóki samemu nie doświadczy się takiej straty. Potem przez kilka miesięcy te ataki niby-niestrawności stale się powtarzały. Nawet teraz mi się zdarzają. Ale z czasem zrozumiałem... - spojrzał na Kirsty, jakby nie był pewny, czy powinna być świadkiem jego wynurzeń

że nie mogę nie chodzić do kina. Albo na plażę. Nie mogę nie celebrować dwudziestych pierwszych urodzin czy się ożenić, żeby uniknąć sensacji żołądkowych na tym tle. To nie pomaga. Trzeba dawać upust rozpaczy, płakać, wymiotować, kopać przedmioty martwe, cokolwiek, co pomaga. Trzeba to robić, bo inaczej ten wewnętrzny skurcz nigdy nie zelżeje.

- Tak - zaczęła Susie, kiwając głową. - Tak, czuję taki skurcz.
- Nie jest z tobą aż tak źle, Susie. Chodzisz coraz pewniej. Rory byłby z ciebie dumny.

- Chyba tak. - Nagle przeniosła wzrok z Jake'a na Kirsty. - Czy dzisiaj na plaży...

- Idę spać - przerwał jej. - Dopiero co wróciłem. Miałem trzy wizyty domowe pod rząd i jest już druga w nocy.

- Czy dzisiaj na plaży... - nie rezygnowała Susie - próbowałeś o czymś zapomnieć? Czy oboje postanowiliście zmienić swoje życie?

- Nie bardzo cię rozumiem - powiedział, spoglądając na Kirsty z wyrzutem, że już wszystko siostrze wypaplała.

Susie zauważyła to spojrzenie i się uśmiechnęła.

- Daj jej spokój. Ona nie pisnęła ani słówka. Na parkingu była szwagierka Margie i od tej chwili wszystkie telefony są rozgrzane do białości. Margie zajrzała do mnie, zanim poszła spać. Uważa, że to wspaniała sprawa. - Nieśmiały uśmiech nie schodził z jej warg. - Ja was tylko ostrzegam. I pierwsza zadaję to pytanie.

- Skoro już je zadałaś, to mogę iść spać - oznajmił Jake. - Dobranoc.
- Czekam na odpowiedź.
- To nie twoja sprawa.
- Nie moja, ale jestem siostrą Kirsty. I znam jej wszystkie myśli. Jak mi nie wierzysz, możesz zapytać o to swoje córeczki. Ile mają przed

sobą sekretów?

Ani jednego, pomyślała Kirsty, ale w tej kwestii nie mam żadnej pewności. Susie też to wie. I być może dlatego zadała Jake'owi to pytanie.

- W moim życiu jest tylko jedna para bliźniaczek
- oświadczył Jake. - Na drugą parę nie ma w nim miejsca.
- Susie, daj mu spokój - mruknęła Kirsty. - Niech się człowiek

prześpi.

- Ja tylko zadałam pytanie - tłumaczyła się Susie.
- Jake, czy Kirsty opowiedziała ci o swoich upiorach?
- Nie.

- Nasza mama zmarła, jak miałyśmy dziesięć lat
- zaczęła Susie. - Wkrótce potem tata popełnił samobójstwo. Od tej pory Kirsty dźwiga na barkach wszystkie troski tego świata. Opiekuje się mną. Pracuje w hospicjum, pomagając umierającym. Nasz ojciec odebrał sobie życie, bo nie potrafił się z tego wyrwać. Ja spróbowałam i dostałam po głowie. Kirsty obserwowała to z boku i postanowiła nigdy się nie angażować.

- Przestań! - jęknęła Kirsty.

- Siostrzyczko, nie można mieć wszystkiego. Stawałaś na głowie, żeby mnie z tego wyciągnąć. I jest mi teraz lepiej. Trochę lepiej. Po raz pierwszy od śmierci Rory'ego wynurzam się z otchłani, zaczynam dostrzegać, co dzieje się wokół mnie. Już nie jestem taka wewnętrznie skurczona. Jest mi... lekko. I bardzo mnie interesuje los mojej siostry.

- To dobry znak - zauważył Jake, przesuwając się w stronę drzwi. - Muszę iść.

Rozumiem. Ty, Kirsty, też wracaj do siebie.

- Jeszcze trochę tu zostanę.
- Nie jesteś mi potrzebna.
- Jestem, jestem. Dobranoc, doktorze.
- Dobranoc.
- Jak mogłaś? - Kirsty była urażona i wściekła. - Przestraszyłaś go.

Mnie również.

- Nie wyglądasz na przestraszoną. Kirsty, on jest fantastyczny. I się z nim całowałaś!

- Wyglupialiśmy się. Żeby zadowolić miejscowych.
- Słowo honoru?
- Słowo honoru.
- Twierdzisz, że nie kochasz się w doktorze Cameronie. - Susie przesywała ją wzrokiem.
- Chyba masz omamy. Daj, zmierzę ci ciśnienie.
- Odczep się od mojego ciśnienia. Lepiej martw się o swoje... Kirsty, co powiesz Robertowi? - zaniepokoiła się Susie.
- Nic mu nie powiem.
- Chyba masz rację. On jest tak nijaki, że nawet nie zauważy, że został rzucony.
- Susie!
- Oprzytomniej, Kirsty - westchnęła Susie. - Idź już sobie. Daj mi śnić. Mam jednak podejrzenie, że nie wszystko jest snem. Jako twoja siostra bliźniaczka sporo wiem o tobie.

Kirsty obudziła się wcześniej rano. Gdy szła zrobić sobie śniadanie, jeszcze w korytarzu usłyszała głos Jake'a.

- Trzeba cię utuczyć - mówił. - Taki snujący się za mną szkielet nie najlepiej świadczy o mnie jako lekarzu. Jeśli chcesz zostać psem superdoktora, to musisz wyglądać jak reklama witamin. Masz tu drugi kawałek.

Jake i Boris.

Oparła się o ścianę, by dalej bezczelnie go podsłuchiwać.

- Niedługo wracamy do domu, stary. Znaleźliśmy się tu w roli ochrony, ale zagrożenie minęło.

Pies szczeknął żałośnie, a Kirsty wyobraziła sobie, że Boris siedzi, opierając łeb na kolanach Jake'a, i patrzy mu w oczy.

- Racja, bardzo nam tu dobrze, ale tylko głupiec mógłby sobie wyobrazić, że tak będzie zawsze. Nie ma szczęśliwych rodzin.

Znowu szczeknięcie.

- Niestety, taka jest prawda. - W jego głosie zabrzmiała nuta smutku.
- Wolisz bekon mocno przyrumieniony, prawda?

Odgłos smażenia.

- Gdyby nie ona, zostałbym tu trochę dłużej - zniżył głos - ale ona tu jest. Dziewczynki, ty i ja... jesteśmy rodziną i nie dopuszczę, żeby

ktokolwiek nam przeszkadzał.

Powinna wejść do kuchni skuszona smakowitym zapachem smażonego bekonu, ale się pohamowała. Pójdzie zajrzeć do Angusa. Jake nie pozwoli, by ktokolwiek zagroził jego „rodzinie”, a ona nie chce, by Jake zagroził jej niezależności. W porządku. Oboje są zdecydowani.

Chciało jej się płakać.

Zajmij się Angusem i nie myśl o łzach. Ani o mężczyznach. Oprócz Angusa.

Zapukała, ale gdy nie usłyszała zaproszenia, uchyliła lekko drzwi, by go nie obudzić. Angus nie spał. Leżał na podłodze. Potknął się o dywan, przebiegło jej przez myśl. Obok staruszka leżał przewrócony pojemnik z tlenem i rurka, która wypadła mu z nosa.

- Jake!!!

On nie oddycha. Nie ma pulsu! Dotknęła tętnicy szyjnej. Skóra ciepła, ale gdzie puls?! Zawał? Udar?

- Jake!!! Nie umieraj!

Odwróciła go na plecy, żeby przystąpić do reanimacji. Jak długo on tu leży? Gdy zajrzała do niego o czwartej nad ranem, spał w łóżku. Od kiedy nie oddycha? Jest ciepły, więc może... może...

Usłyszała, jak Jake gna po schodach.

- Co się tu....?!

- Chyba zawał. Masz...?

- Zaraz przyniosę. - Znowu łoskot butów na schodach.

Oddech, piętnaście krótkich, energicznych ucisków, oddech...

W drzwiach stanęła Susie. Jak pokonała schody? Za nią Margie i bliźniaczki. Na wszystkich twarzach malowało się przerażenie.

- Margie, zabierz dzieci - rzuciła między oddechami.

Do sypialni wpadł Jake z przenośnym defibrylatorem i natychmiast zaczął go podłączać.

- Mam puls - stwierdził po chwili. - Bardzo słaby. - Potem założył choremu maskę tlenową i zaczął pompować czysty tlen do schorowanych płuc.

Potrzebna kroplówka, pomyślała Kirsty, ustępując mu miejsca. Uzupełnić zasób zasad, atropina...

Angus ma niedokrwinną chorobę serca, przypomniała sobie. Jeśli

puls nie zanikł, to może jest to niewielki zawał. Może uda się go uratować. Byłby to najbardziej optymistyczny scenariusz. Oby nie był to zawał ze wszystkimi poważnymi komplikacjami. Za wszelką cenę trzeba przywrócić oddychanie. Być może zwiększenie zasobu zasad wystarczy, by zapobiec trwałym uszkodzeniom.

Jeśli jest puls, to znaczy, że stało się to przed chwilą. Może Angus wstał zwabiony zapachem bekonu i po prostu się potknął?

Chory kaszlnął. Tak cicho, że ledwie to usłyszeli, ale chwilę potem rozległo się donośne, suche kasznięcie.

Oddycha! Bogu niech będą dzięki. Pomarszczone powieki lekko się uniosły i Angus zaczął wodzić niezbyt przytomnym wzrokiem po Kirsty i Jake'u.

- Su... Susie - szepnął.

Susie, opierając się na kulach, podeszła bliżej, by znaleźć się w jego polu widzenia.

- Jestem tu, jestem.

Patrzył na nią zdumiony. Chciał coś powiedzieć, więc Jake na chwilę zdjął mu maskę.

- Uważaj na siebie, Susie - wyszeptał Angus. - Susie... Rory...

- Nic mi nie grozi - odparła Susie, kładąc rękę na swoim brzuchu, jakby domyśliła się, o co staruszek się niepokoi.

- Spike... umrze...

Jest nadzieja, jeśli w takiej chwili on boi się o los swojej dyni.

- Susie nią się zajmie - zapewnił go Jake. - Susie nie da dyni umrzeć. Ty jednak nie zapominaj, że Susie przyjechała tu z drugiego końca świata, żeby tu urodzić i żeby jej dziecko miało stryjecznego dziadka, więc lepiej weź się w garść. Jedziemy do szpitala.

- Nie jedziemy. - Zostało to powiedziane z taką mocą i stanowczością, że Kirsty omal nie wybuchnęła śmiechem. Tak, w tym zawodzie zdarzają się cuda. I wtedy ten zawód da się kochać.

- Na nic twoje protesty - mówił Jake przez ściśnięte wzruszeniem gardło. - Zrobimy ci badania. Nie chcesz tu być, kiedy będzie się rodziło dziecko Susie?

- Ja... Nie... Kirsty podała mu morfinę.

- To znaczy, że jedziesz do szpitala.

- Spike... - szepnął Angus.
- Obiecuję, że będę się nią opiekować - zapewniła go Susie. - Razem z Benem.
- Idziemy. - Jake wziął Angusa na ręce. - Kirsty, pojedziesz z nami?
- Ja mogę chodzić - oznajmił Angus słabym głosem.
- Tak jak ja fruwać - mruknął Jake.

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dwie godziny później Kirsty wracała do zamku autem wypożyczonym ze szpitala. Była w niezłym nastroju, bo Angus już spał spokojnie w szpitalnej sali, dochodząc do siebie.

- Jak najszybciej wyślę go do Sydney - warknął Jake. - Tam nareszcie porządnie go przebadają. To jest pierwszy raz, kiedy mam tego upartego osła w szpitalu, ale jak już tu jest, to ani się nie obejrzy, jak kardiologzy dostaną go w swoje łapy. - Zawahał się. - Kirsty...

- Chcesz, żebym z nim pojechała do Sydney?

- Byłbym ci bardzo wdzięczny... Zaopiekuję się Susie, naprawdę.

- Wierzę - westchnęła, odwracając głowę. Dlaczego jej serce bije tak mocno dla tego miejsca, dla tych ludzi... dla tego mężczyzny?

Kocham całą tę społeczność, pomyślała ponuro, jadąc do domu, ponieważ nie wiedziała, co z tym zrobić. Parę dni w Sydney pozwoli jej odpocząć od tego wszystkiego. Po południu wyruszy z Angusem karetką do wielkomiejskiej kliniki. Jako jego opiekun medyczny... oraz członek rodziny. Jest tak niezależnie od twojej woli, pomyślała. Nie ma co tego roztrząsać. Rób, co do ciebie należy. Jedź do domu, spakuj się i daj się zawieźć do Sydney. Zostań tam, aż Angusowi nic nie będzie zagrażało.

Ucieknij od Jake'a.

Jednak ledwie wjechała na zamkowy dziedziniec, została wciągnięta w następny dramat. Nie dane jej było odpocząć.

- Spike umiera.

Ledwie wysiadła z auta, w furtce do ogrodu stanęła Susie.

- Kirsty, Spike umiera! Angus chciał nam powiedzieć... - Zachwiała się, lecz Kirsty zdążyła ją podtrzymać. - Jake już dzwonił. Powiedział, że Angus wyzdrowieje oraz że masz z nim jechać do Sydney. Jak już wszyscy wyszli, poszłam do ogrodu. Kirsty, Spike...

- Susie, uspokój się.
- Jestem spokojna, ale...
- Opanuj się. Dokąd wszyscy wyszli? Susie odetchnęła głęboko.
- Ben pojechał do domu podlać swoje rośliny, a po telefonie Jake'a Margie stwierdziła, że musi zrobić zakupy przed twoim wyjazdem, bo potem za długo byłabym sama. Zabrała ze sobą dziewczynki. Jak już wszyscy wyjechali... - Głos jej się załamał.

- Susie, już dobrze, dobrze... - Kirsty czuła, że siostra jest bliska hysterii.

- Wcale nie jest dobrze - szlochała Susie. - Już wiem, dlaczego Angus dostał ataku serca. Ktoś wyrwał Spike'a z ziemi. Z korzeniami. Posadziłam go na nowo, ale zanim znów się ukorzeni, minie dużo czasu. Spike więdnie w oczach.

Dynia rzeczywiście wyglądała bardzo marnie. Kirsty wprawdzie pracowała z umierającymi ludźmi, ale nietrudno było jej się zorientować, że dni tej rośliny są policzone. Zdecydowanie powinna znaleźć się w hospicjum.

- Ktoś to wyrwał - szepnęła Susie. - Szczęście, że nie ułamał łodygi. Mimo to Spike nie dostaje odpowiedniej ilości wody. Na pewno umrze.

- Nie ma szansy dojrzeć? - Susie spojrzała na nią takim samym wzrokiem jak ona na stażystę, który niedawno na kolkę nerkową zaproponował podać pacjentowi aspirynę.

- Za wcześnie. Najpierw musi urosnąć. - Susie westchnęła. - Angus wyjrzał przez okno, zobaczył to i dostał ataku serca. Kto to zrobił? - Przysiadła na ziemi, by dotknąć przywiedłych liści. - Angus tego nie przeżyje. Uszkodzone korzenie nie dostarczą odpowiedniej ilości wody.

Kirsty już miała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. Nie, to głupi pomysł.

- Jaki pomysł jest głupi? - zapytała Susie.

- No nie! Jake też mi to robi. Człowiek już o niczym nie może pomyśleć! - obruszyła się Kirsty.

- Bo Jake kocha cię tak samo jak ja. Chociaż jeszcze o tym nie wie. Co to za pomysł?

Nie myśl o Jake'u. Skup się na dyni w stanie agonalnym.

- Pomyślałam...

- Wiem, że myślałaś - zniecierpliwiła się Susie. - Przestań myśleć i coś zrób, zanim ta dynia będzie nadawała się na kompost.

- Specjaliści opieki paliatywnej nie używają takich słów jak kompost. Bo im nie przystoi.

- To znaczy, że Spike jest skazany na śmierć.

- Czy łądyga wciąga tylko wodę? - zapytała Kirsty.

- Tak.

- Zwyczajną wodę?

- Ze składnikami odżywczymi - uzupełniła Susie. - Z gleby. Ale woda jest najważniejsza.

Kirsty przyklękła obok siostry, by przyjrzeć się dyni. Liście przy ziemi były jeszcze całkiem jędrne, ale te wyżej wiotczały z minuty na minutę.

- Co my zrobimy? - jęknęła Susie. - Jak my mu o tym powiemy?

- Cicho bądź! - Kirsty oglądała łądygę. - Na pogrzeb jeszcze za wcześnie. Susie, cięte kwiaty wciągają wodę z wazonu. Nie można Spike'a włożyć do pojemnika z wodą?

- Będzie ją pił, ale zdecydowanie za mało. A za dwa, trzy dni łądyga zacznie gnić.

- A gdyby podać wodę bezpośrednio do łądygi? Na przykład kroplówką? Dopóki nie wytworzy nowych korzeni.

Susie długo milczała, a potem tylko westchnęła.

- Och...

- Nie wiem, czy to coś da - zastrzegła się Kirsty.

- To lepsze niż beczynnienie patrzeć, jak ona więdnie.

- Może się czymś zarazić przez miejsce wkłucia.

- Angus ma środek bakteriobójczy, który nakłada się na ucięte gałęzie. - Rozpacz Susie nagle zniknęła, ustępując entuzjazmowi. - Masz wszystko, żeby dać jej kroplówkę?

- Jake wypożyczył mi szpitalny samochód z wyposażeniem takim jak karetka. Musi tam być zestaw do kroplówek.

- To na co jeszcze czekamy?

- Co zrobiliście?! - Jake nie wierzył własnym uszom, gdy jakiś czas potem zadzwonił do zamku. Słuchawkę podniosła Kirsty, ponieważ Susie czuwała przy Spike'u.

- Podajemy Spike'owi kroplówkę - wyjaśniła Kirsty. - Z soli fizjologicznej, osiemdziesiąt miligramów na godzinę. Liście najbliższej dyni już się podnoszą. Zaczynam wierzyć, że coś z tego będzie.

- Chyba żartujesz.

- Nie tylko ty potrafisz być internistą! - Powiedziała to tonem osoby bardzo z siebie zadowolonej.

- Rozumiem. - Zawahał się. - Kirsty, czy wiesz, kto lub co wyrwało Spike'a?

Zadowolenie Kirsty zgasło.

- Nie mam pojęcia. Może Boris go wykopał?

- Czy to miejsce wygląda jak rozgrzebane przez psa?

- Nie. - Nagle pojęła, o czym pomyślał Jake. Doszłaby do tego samego wniosku, gdyby tak bardzo nie przejęła się rozpacz siostry. Mógł to zrobić tylko ktoś, kto bardzo źle życzy Angusowi.

- Kto jest teraz w zamku? - zapytał Jake.

- My dwie.

- Wejdźcie do domu i zamknijcie się od środka. Jadę do was.

Oszalał, pomyślała. Nie jest wykluczone, że to faktycznie sprawka Kennetha, który wiedział, jak ważna jest ta dynia dla jego stryja. Ale zamykać się na wszystkie zaniki...

Przypomniała sobie jednak, z jak obłąkańczą nienawiścią Kenneth patrzył na Susie. Postanowiła więc jak najszybciej przyprowadzić Susie i Borisa z ogrodu do domu.

Gdy wyszła zza żywopłotu, ujrzała Kennetha.

Trzymał Susie, przykładając jej pistolet do głowy.

Oblał ją zimny pot.

- Kenneth!

- Ty to ona - wybełkotał.

Wystarczyły te trzy słowa, by zorientowała się, że Kenneth jest bardzo chory, że stracił nad sobą kontrolę i że przed niczym się nie cofnie.

- Kim ty jesteś? - zapytał.

- Ja jestem Susie - odparła Kirsty, nie odrywając wzroku od pistoletu. - Jestem żoną Rory'ego.

- Nie. - Zbierał myśli, po czym przytknął pistolet do brzucha Susie-

To jest żona Rory'ego. Bo ona jest w ciąży. Sprawdziłem to jeszcze raz. Jej bachor odziedziczy wszystko: tytuł, majątki w Szkocji i ten zamek, a ja zostanę na łodzi. - Spojrzał na Susie.

- Przyszedłem tu rano, żeby pokrzyżować twoje plany. Wyrwałem dynię, bo wiedziałem, ile znaczy dla Angusa. Ten szok o mało go nie zabił. Wywieźli go stąd z zawałem i lada moment on umrze. Wtedy to wszystko będzie moje. Muszę jeszcze tylko ciebie się pozbyć.

- Angus nie umrze - powiedziała Kirsty, ale Kenneth jej nie słuchał.

- Myślałem, że jak zabiję Rory'ego, to sprawa będzie załatwiona.

O Boże, Susie zaraz zemdleje. Kirsty zrobiła krok naprzód, ale Kenneth powstrzymał ją, przenosząc broń w jej stronę.

- Tak, tak - warknął Kenneth. - Myśleliście, że to był wypadek. Wystarczyło pomajstrować w układzie kierowniczym, postarać się, żeby wyglądało na wcześniejsze uszkodzenie. Liczyłem, że zabijecie się oboje, ale kiedy zginął tylko Rory, też uznałem to za sukces. Nie wiedziałem, że jesteś w ciąży.

- Tym razem ci się nie uda. - Głos Kirsty brzmiał stanowczo. - Jeśli do niej strzelisz, będzie cię szukała policja w całym kraju. Kenneth, zostaw nas w spokoju. Odejdź, dopóki możesz.

- Nie zamierzam strzelać. Masz mnie za idiotę?

- Mierzysz do nas z pistoletu.

- Zastrzelę was, jeśli będzie trzeba. Raczej strzelę sobie w łeb, niż pozwolę, żeby dzieciak Rory'ego odziedziczył fortunę stryja. Bo to by znaczyło, że Kory znowu jest górą. Mam lepszy pomysł, żeby jej się pozbyć, i ty mi w tym pomożesz, niezależnie od tego, kim jesteś.

- Nie zastrzelisz nas? - Muszę go zagadać, odwrócić jego uwagę od Susie, doczekać przyjazdu Jake'a. Nie, on nie zdąży.

- Wszystko zorganizowałem - powiedział triumfującym tonem. - Postanowiłem ją stąd wywabić... samą. Żeby wyglądało to na wypadek. Przygotowałem łódź i tu wróciłem.

- Łódź?

- Pod urwiskiem. Idziemy.

- Susie nie zejdzie z tych skal.

- Ty ją sprowadzisz, a jak nie, to podprowadzę ją na krawędź i zepchnę. Ruszajcie! Obydwie.

Potem zaczął się koszmar.

Po drugiej stronie drogi stroma ścieżka prowadziła z urwiska na plażę. Dla Kirsty całkiem wygodna, ale nie do pokonania dla osoby poruszającej się o kulach. Miały jednak do wyboru zejść o własnych siłach lub zginąć.

Kenneth jest obłąkany, myślała Kirsty, ale zachował odrobinę logiki: dociera do niego, że lepiej byłoby, aby nie znaleziono ich podziurawionych kulami. Na tym jednak kończy się jego przytomne myślenie. Ma problem z odróżnieniem sióstr, ale logika szaleńca podpowiada mu, że powinien pozbyć się obydwu.

W zółwym tempie posuwały się kamienistą ścieżką.

- Prędeż!

Boris skakał dookoła nich, ciesząc się na myśl o zabawie na plaży, lecz Kenneth nie zwracał na niego uwagi.

Zabije je na plaży? Kiedy Jake dojedzie do domu? Na pewno wie, że po tym, jak przykazał im zamknąć się w zamku, nie odważyłyby się go opuścić. Poza tym na dziedzińcu został samochód wypożyczony przez Kirsty ze szpitala.

Na pewno jednak nie będzie szukał Susie na plaży. Straci bezcenny czas na poszukiwania w zamku i w buszu za murem.

- Nie mogę - jęknęła Susie.

- Możesz.

- Nie rozmawiać! - wrzasnął Kenneth.

- Kenneth, to ci zrujnuje życie - zaczęła Kirsty. - Drogo zapłacisz za podwójne morderstwo. Puść nas wolno, a my zapomnimy o całym tym wydarzeniu.

- Zabiłem Rory'ego. - Popchnął Susie tak mocno, że wpadła na Kirsty, która z trudem utrzymała równowagę. - Myślisz, że zabiłem rodzony brata po to, żeby całą fortunę odziedziczył jego bachor?

- Ta fortuna należy do Angusa - przypomniała mu Kirsty, podtrzymując Susie. Widziała, że siostra płacze. Przestała walczyć, pomyślała. Jakby od dawna przeczuwała, że coś takiego ją spotka. Rory nie żyje, więc jej życie nie ma sensu.

Znaczy to, że Kirsty musi walczyć za obydwie.

- Prędeż!

Co w takiej sytuacji zrobiłby James Bond? On nigdy nie musiał bronić okaleczonej i ciężarnej rodzonej siostry.

Nawet gdyby była sama, nie wiedziałyby, jak wyjść z takiej opresji. Jedyna nadzieja w Jake'u.

W końcu znalazły się na plaży. Za potężnym głazem ujrzały motorówkę oraz obdrapaną drewnianą łódź przywiązaną do niej długą liną.

- Do łodzi - warknął Kenneth.

Podbiegł do nich rozbawiony Boris, który wcześniej uganiał się za mewami. Kenneth wycelował do niego z pistoletu.

- Jeśli go zastrzelisz, będzie to dowód, że zrobiłeś nam krzywdę - ostrzegła go Kirsty, pomagając Susie wsiąść do łodzi.

- To go odpędź. Nie wpuszczaj go do łodzi.

- Boris, szukaj Jake'a, szukaj! - powiedziała Kirsty bez większej nadziei. To głupi pies. Tu przydałaby się Lassie, która błyskawicznie sprowadziłaby całą ekipę ratowników i przykułaby Kennetha kajdankami do swojej obroży.

Lassie jednak nagrywa teraz kolejny film, a ona ma do dyspozycji tylko Borisa.

Sięgnęła po kawałek wodorostu leżący na piasku i przewlekła go przez obrożę psa.

- Boris, do domu!

Pies rzucił się w pogoń za kolejną mewą, ale nie zgubił wodorostu.

Nic więcej nie mogę zrobić, pomyślała. Boże, niech ten wodorost nie spadnie. Niech dotrze do Jake'a.

Gdy znalazły się w łodzi, Kenneth wsiadł do motorówki. Wypływali na otwarte morze.

- Gdzie one są? Kirsty i Susie.

Jake zajechał na dziedziniec niemal w tej samej chwili co Margie z dziewczynkami.

- Powinny być w ogrodzie - odparła Margie, wydzielając bliźniaczkom co lżejsze torby z zakupami.

- Tata się boi - szepnęła Alice, patrząc na ojca, który niemal biegł w stronę furtki do ogrodu.

Spoglądając na dynię podłączoną do kroplówki, pomimo strachu nie

mógł się nie uśmiechnąć.

Kirsty jest nie tylko specjalistką opieki paliatywnej, ona potrafi wskrzeszać pacjentów, pomyślał z uznaniem.

Na pewno są w domu.

- Tato, ich tu nie ma - poinformowała go Penelope, gdy wpadł do kuchni. - Szukałyśmy Susie, żeby poczęstować ją lodami. Nie ma ich w ogrodzie?

- Martwi cię Kenneth? - rzuciła Margie swobodnym tonem, żeby nie straszyć dziewczynek.

One jednak okazały się bardzo domyślne.

- Ten zły pan tu jest? - zapytała Alice.

- Nie sądzę - odrzekł Jake, sięgając po komórkę. Policja. Pomoc. Natychmiast.

- O, Boris! - ucieszyła się Alice. - Fuj! Cały mokry.

- I coś mu wisi przy obroży - stwierdziła jej siostra. - Wodorosty.

Kenneth postradał zmysły, ale nie był głupi.

Gdy znalazły się w łódce, Kirsty pomyślała, że wyskoczą z niej i popłyną. Dzień był gorący i bezwietrzny, a Susie, chociaż nie może pływać, może leżeć na wodzie. Gdyby Kenneth po prostu wyrzucił je do wody, miałyby szansę się uratować. Lecz on miał inny plan, całkiem logiczny.

Byli już daleko od brzegu, kiedy Kirsty zorientowała się, że ocean jest tak spokojny, że nawet gdyby wyskoczyły z łodzi, Kenneth bez trudu wystrzela je jak kaczki.

Może on zna miejsce, w którym gromadzi się rekiny? Przeszył ją dreszcz przerażenia.

- Co on zrobi? - wykrztusiła Susie.

- Nie wiem.

Wystarczyło podnieść wzrok, by przejrzeć jego zamiary.

Jej oczom ukazała się grupa skał wynurzających się z wody. Mała rafa. Kilka ostrych, złowieszczych zębów.

Ciągnąca ich łódkę motorówka nabierała prędkości. W pewnej chwili Kirsty dostrzegła błysk noża.

Rozpędzi się, przetnie linę, sam ominie skały, a my się o nie rozbijemy, pomyślała, kurcząc się ze strachu.

Zaczęła wlec Susie tam, gdzie burta była najniższa.

- On chce nas roztrzaskać o te skały.

Jeśli wyskoczą za wcześnie tam, gdzie woda jest jeszcze spokojna, będzie do nich strzelał. Muszą czekać na wodę spienioną dokoła skał.

Siedziały, trzymając się za ręce. Kenneth na chwilę spuścił je z oka, żeby odwrócić się i ocenić odległość, jaka dzieli go od skał, by w odpowiedniej chwili...

Czekały.

Pięćdziesiąt metrów, trzydzieści...

Teraz!

Scandalous

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zderzenie z powierzchnią wody wydało się Kirsty bardzo silne. Pomimo dławiącego bólu nie puściła ręki Susie.

Wyskoczyły w ostatniej chwili. Gdy wynurzyły się w białej kipieli, okazało się, że wokół nich pływają połamane deski z łódki, która z impetem wpadła na skały.

Bez nich.

Czy już są bezpieczne?

Nie. Poczowała, jak Susie ciągnie ją za rękę w stronę skał. Tylko spieniona woda osłoni je przed wzrokiem Kennetha.

Zdaje się, że Kenneth się pomylił, wybierając dla nas śmierć w morskiej otchłani, pomyślała Kirsty z nadzieją.

Obydwie były znakomitymi pływaczkami, w dzieciństwie z pasją uprawiały piłkę wodną. Teraz Susie zrobiła ręką ruch, który dawno temu oznaczał: „Spotkamy się pod wodą”.

Kirsty popatrzyła we wskazanym kierunku. Był tam wąski przesmyk między dwoma skałami. Nie pokonałyby go, trzymając się za ręce, ale w pojedynkę... kto wie? Susie jest bardzo słaba, a i ona nie jest w formie. Chyba ma pęknięte żebro, bo każdy wdech sprawia jej piekielny ból. Susie na pewno to widzi. Jednak nie miały wyboru.

Spotkamy się za tymi skałami?

Raz, dwa, trzy!

Pomimo bólu Kirsty bez większego trudu znalazła się we wskazanym miejscu. Czekala na Susie. Trwało to kilka sekund, ale jeszcze nigdy sekundy tak jej się nie dłużyły. Susie ma bardzo słabe nogi. I jest w dziewiątym miesiącu ciąży! Boże, miej ją w swej opiece.

W pewnej chwili tuż obok niej wytrysnął gejzer wody, a za nim twarz Susie. Roześmiana!

Dawna Susie, niespokojny duch i odważny łobuziak. Wybrała

ogrodnictwo, ponieważ lubiła taplać się w błocie. Tę radość życia odebrała jej dopiero śmierć męża.

- Niech nas teraz szuka! - parsknęła Susie uradowana.

Ich głowy wystawały ledwie ponad wodę, a od strony przesmyku zasłaniały je fale rozbijające się o skały. Żeby je zobaczyć, Kenneth musiałby podpłynąć bardzo blisko, ryzykując rozbicie motorówki.

Jak długo powinny zostać w tej kryjówce?

Jak długo Kenneth będzie czyhał w pobliżu? Zauważy, że ich łódka się rozbiła, powinien więc uznać, że doznały poważnych urazów i nie będą w stanie wrócić na ląd.

Nie będzie długo czekał, pomyślała Kirsty.

- Co cię boli? - zapytała Susie.

- Chyba mam pęknięte zebro. Nic poważnego. A ty jak się czujesz?

- Mogę bardzo długo utrzymywać się na wodzie. Nieprawda. Susie nie jest taka silna, jak sobie wyobraża. Działa teraz pod wpływem adrenaliny, ale za godzinę...

Powinny wdrapać się na którąś ze skał, ale jeszcze nie teraz. Jake, musisz nas znaleźć...

Plaża świeciła pustkami, ale na piasku widniały ślady butów. Trzech różnych rozmiarów. Dwa mniejsze, jeden większy, oraz odciski psich łap. Za załomem skalnym znaleźli charakterystyczne wgłębienie w piasku pozostawione przez motorówkę.

Zabrał je do łodzi? - pomyślał Jake. Dokąd?

- Wezwiemy śmigłowiec - oznajmił Fred Mackie, jedyny policjant w Dolphin Bay. - Jeśli nie poleciał z jakąś misją, będzie tu za pół godziny.

- Pół godziny? Za długo.

- Przez ten czas zaalarmuję wszystkie kutry, które są w morzu. - Fred położył rękę na ramieniu Jake'a.

- Jeśli on je zabije na pełnym morzu...

- Nie jest taki szalony. - Fred znał Kennetha od dziecka. - Na wszelki wypadek wezwę pogotowie psychiatryczne.

Zadzwoiła komórka Jake'a.

- Jake, słucham.

To Angus. Co się stało?

- Podobno Kenneth porwał nasze dziewczyny - powiedział Angus, z

trudem chwytając oddech.

- Angus, nie...

- Nie chroń mnie! Od tego mam pielęgniarki - warknął staruszek. - Ta, która przyszła pobrać mi krew, była blada jak płótno i nie chciała mi powiedzieć, dlaczego tak źle wygląda. Więc zadzwoniłem do Bena. Jest tu teraz ze mną.

- Nie martw się...

- A nie mam powodu?! Rano nie miałem siły mówić, a powinienem. Myślę, że wiem, dokąd je zabrał.

- Mów!

- On panicznie boi się broni. Broń go jedynie fascynuje, ale wystrzał go przeraża. Ojciec strzelał do niego, żeby w ten sposób go zahartować. Mówię to, bo wątpię, żeby jej użył. Jeżeli chce im zrobić krzywdę, to podejrzewam, że popłynął... do Zepsutego Zęba... - Angus ledwie mówił. - Skupisko skał mniej więcej dwie mile w morze. Na północny zachód. Popatrz na mapę wybrzeża...

- Znajdę to miejsce. Dlaczego uważasz, że zabrał je akurat tam?

- Bo w ten sposób zabił kiedyś psa Rory'ego - szepnął Angus. - Wywiózł go na prowizorycznej tratwie i rozbił o skały. Spiesz się, Jake.

Muszą wyjść z wody. Robiło się coraz bardziej zimno, a Susie najpierw zamilkła, a potem nawet nie dała się sprowokować do rozmowy.

Tam jest jedyne płaskie miejsce, pomyślała Kirsty. Gdyby udało się nam tam wdrapać...

- Susie, wejdę na tę półkę, a potem cię tam wciągnę.

Susie nie odpowiedziała, więc Kirsty zajrzała jej w oczy. Było w nich cierpienie.

- Co ci jest?

- Nic.

Aha, na pewno ci uwierzę.

Na szczęście zaczął się odpływ, co oznaczało, że na skalnej półce woda nie zagrozi im przez wiele godzin. Ile czasu zajmą Jake'owi poszukiwania?

Gdyby były w formie, operacja wejścia na upatrzony kamień zajęłaby im nie więcej niż minutę, ale nogi Susie były takie słabe, a ona sama taka

pękata, na dodatek ta obolała klatka piersiowa...

Tak ostry ból oznacza przebite płuco, ale... można oddychać.

- Łamaga ze mnie - sapnęła, na chwilę przerywając holowanie siostry dla złapania tchu.

- Łamagi bliźniaczki. Dwie łamagi, które muszą wleźć na skałę. W końcu obydwie znalazły się na skrawku suchego lądu.

Królestwo za morfinę, pomyślała Kirsty, wciągnąwszy za sobą Susie. Leżały teraz, dysząc z wyczerpania i obserwując horyzont. Kenneth zniknął.

- Jesteśmy uratowane - wyszeptała Kirsty, ściskając rękę siostry. Susie odwzajemniła ten gest z taką mocą, że Kirsty aż krzyknęła.

- Teraz został nam już tylko jeden problem oznajmiła Susie.

- Jaki? - Kirsty ledwie oddychała. Tak, przebite płuco.

- Właśnie minął czwarty skurcz.

- Jaką to osiąga prędkość?

Na przystani Jake i Fred zastali jedynie kuter należący do Roda Hendry'ego. Fred wydawał polecenia przez radio, a Jake stał wraz z rybakiem przy sterze i go ponaglał.

- Prędej się nie da. - Rod zmrużył oczy. - A to kto tak rwie?

Jake sięgnął po lornetkę. W polu widzenia miał teraz motorówkę, która mknęła z zawrotną szybkością.

- To jest łódź Scotta - odrzekł Rod. Po chwili jednak ściągnął brwi. - Niemożliwe. Scott wyjechał do Queenslandu.

- To znaczy, że jest to Kenneth. - Jake nie miał wątpliwości.

Motorówka zmieniła kurs, jakby kierujący nią nie życzył sobie spotkania z kutrem. - Fred! - zawołał policjanta.

- Mam go ścigać? - zapytał Rod z nadzieją w głosie, ale wszyscy trzej wiedzieli, że rybacki kuter nigdy nie dogoni tak szybkiej łodzi motorowej.

- Połączę się z bazą straży przybrzeżnej - oświadczył Fred. - Niech kto inny go ściga.

- Płynmy do tego Zęba - nalegał Jake. - Jak najszybciej.

- Jeśli taką maszyną holował drewnianą łódkę... - zaczął Fred w zadumie, lecz Jake go uciszył. Wiadomo, co by się stało. Co prawdopodobnie już się stało.

- Powiedziałem jej, że nie będę się z nią umawiał - szepnął Jake, a Fred z bezgranicznym zdumieniem spojrział na swojego lekarza rodzinnego.

- Pierwsze słyszę. Przyszło ci do głowy, że można się umówić z kobietą? - zadrwił.

- Nie będę się z nią umawiał - odparł Jake zdecydowanym tonem. - Ożenię się z nią.

- Susie, masz za duże rozwarcie. Zwolnij trochę.

- Jak mam zwolnić? Ścisnąć nogi? Auu!

- Musisz dyszeć między skurczami. I nie przyj.

- Zdjęła mokrą wiatrówkę, zwinęła ją i podłożyła siostrze pod głowę w charakterze poduszki. Ich skalna półka miała nieco ponad półtora metra długości i metr szerokości.

W sam raz jak na salę porodową.

- Boję się - chlipnęła Susie.

- No, no, pani Douglas, a czego tu się bać? Kobiety rodzą od tysięcy lat. To jest poród w wodzie inaczej.

- Pani doktor, poproszę o cieplejszą wodę. - Susie nie miała siły się uśmiechnąć.

- Po co? - Obserwowała kolejny skurcz rodzącej siostry. Poprzedni był mniej niż dwie minuty wcześniej. - Napiszesz o tym książkę zatytułowaną „Poród naturalny inaczej. Morze, słońce i delfiny oraz zero interwencji”.

- Chciałabym Enyę na stereo.

- Nie ma. Enya wymaga nowoczesnych technologii. Pomyśl o szpitalnych zakażeniach. Wszędzie aż się roi od gronkowca złocistego. Gronkowiec na pewno siedzi także w sprzęcie hi-fi. Chyba nic chcesz, żeby twoje dziecko złapało gronkowca.

- Nie chcę. - Susie spoważniała. Kirsty, nie mogę urodzić na tej skale.

- Masz inne wyjście? - Nie wiadomo dlaczego, akurat w trakcie porodu siostry doznała olśnienia. To już nie jest podejrzenie, pomyślała.

- Zawsze twierdziłam, że nie potrzebuję żadnego mężczyzny. Mogę teraz zmienić zdanie? Jake - szepnęła - jesteś mi potrzebny.

- Zepsuty ząb to ten biały pasek na linii widnokręgu - poinformował

Jake'a Rod.

- Nie można szybciej? - zapytał Jake, ale Rod udał, że go nie słyszy. Jake sięgnął po lornetkę. - Chyba coś widzę... - Przekazał lornetkę rybakowi, a ten popatrzył i... chwilę później dodał gazu, aż dym poszedł.

- Hej! - wykrzyknął policjant. - Bo nas pozabijasz!

- Są na Zębie - mruknął Rod. - Jedna nad czymś się pochyla... Oby się nie okazało, że ta druga nie żyje...

- Zbliży się tu jakaś łódź - rzekła Kirsty, zniżając głos, ale Susie jej nie słuchała, owładnięta strachem i bólem. Powinna dostać znieczulenie, pomyślała Kirsty. Uszkodzony kręgosłup... taki wielki ból...

Czy w tej łodzi jest Kenneth?

Teraz już nie mogą ukryć się w wodzie.

Kolejny skurcz, zaraz po poprzednim.

- Nie! - krzyknęła Susie. - Kirsty, nie!

- Okej, Susie, jeśli musisz przeć, to przyj.

- Kirsty!!!

Kłęczała przy Susie, ale on nie mógł zobaczyć... Ona na pewno go słyszy.

- Kirsty!!!

- Bliżej nie podejść - oznajmił Rod, lecz zanim to powiedział, Jake już był w wodzie.

Jeszcze kilkadziesiąt sekund wcześniej Kirsty była prawie nieprzytomna ze strachu i rozpacz, ale teraz Jake ją obejmował, uspokajał.

- Pani doktor, bierzemy się do roboty. - Ogarnął wzrokiem sytuację. Pomogło. Zebrała się w sobie na tyle, by wykrztusić:

- Pępowina wokół szyi...

- Susie, nie przyj. Masz oddychać. I nie przyj. Przestań!

Jake robił teraz to, czego ona nie mogła z powodu zgrabiących palców, obolałej klatki piersiowej, braku sił... Wpychał dziecko z powrotem. Odrobinę. Tyle żeby...

- No! - odetchnął. - Teraz możesz przeć. Przyj, Susie, ile chcesz.

Dziesięć sekund później na świat przysła Rosie Kirsteen Douglas. Na skalnej półce nie większej od materaca, parę kilometrów od brzegu. Ważyła trzy i pół kilograma.

Jake oddał pasek ze swojej koszuli, żeby podwiązać pępowinę, uniósł noworodka wysoko, tak by ujrzeli go mężczyźni na pokładzie kutra, pokazał ją Kirsty, by na koniec z uśmiechem podać dziecko Susie, która instynktownie ukryła je pod przemoczoną wiatrówką. Tam, na jej piersi, było najcieplej.

Bardzo rozsądnie, pomyślała Kirsty, czując, że puszcza jej nerwy. Ukryła twarz w dłoniach i się rozpląkała. Gdy Jake przesunął się do niej i ją objął, jej ciałem targał silny szloch.

Scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przebudziła się na szpitalnym łóżku. Wydało się jej to tak niezwykle, że potrząsnęła głową, by się upewnić, że nie śni. Poruszanie czymkolwiek okazało się bardzo ryzykowne.

Gdy weszła pielęgniarka Babs, leżała tak spokojnie, że kiedy się odezwała, Babs aż podskoczyła.

- Myślałam, że śpisz.

- Wolę się nie ruszać. Babs, opowiedz mi, co się dzieje.

- Cała jesteś fioletowo-czerwona - odrzekła beztrąsko Babs. - Jeśli chcesz usłyszeć bardziej fachowe określenia, poszukam twojego lekarza. Ale twój doktor od dwóch godzin chodzi po korytarzu, czekając, aż się obudzisz, więc znajdę go bez trudu. Najpierw zmierzę ci temperaturę i ciśnienie. - Złagodniała, spojrzawszy na Kirsty. - No dobrze, dobrze, zaraz go zawołam. Intuicja mi podpowiada, że twoje ciśnienie przed i po jego wizycie bardzo by się różniło. - Ledwie zniknęła za drzwiami, do pokoju wpadł Jake.

Miała ochotę się roześmiać, ale śmiech wymaga użycia klatki piersiowej, a na to zabrakło jej odwagi,

Jednym susem znalazł się przy niej, po czym ob- sypał ją pocałunkami.

- Kirsty...

- Hej, czyja umieram? - zaprotestowała słabo.- Ja tak nie traktuję moich pacjentów nawet na dwie minuty przed ostatecznym pożegnaniem.

- Mogłaś umrzeć. - Głos mu się łamał. Przysunął sobie fotel i usiadł tuż przy niej. - Kirsty, zostaniesz moją żoną?

Kula ziemską przestała się obracać. To się dzieje za szybko. Obłąd. To nieprawda.

- Nie - szepnęła. - Nie w tej chwili. Najpierw muszę wyjaśnić parę

spraw.

Rozchmurzył się.

- Prawdę mówiąc, nie sprowadziłem pastora do szpitala. -

Uśmiechnął się szeroko. - Co chcesz wyjaśnić?

- Spałam?

- Zanim zdjęliśmy cię z tej skały, podałem ci dziesięć miligramów morfiny. Byłem tak zajęty porodem, że nie zauważyłem, w jakim jesteś stanie. Kiedy przyleciał śmigłowiec z Barnham, jakoś jeszcze się trzymałaś. Kiedy założyliśmy ci uprząż, zaczęłaś odjeżdżać.

- Na pewno tak nie było.

- Każdy z dwoma pękniętymi żebrami straciłby przytomność, gdyby jakiś idiota zaczął wciągać go do śmigłowca. Na miejscu wypadku obowiązuje żelazna zasada: nie wierzyć nikomu, kto twierdzi, że nic mu nie jest. Wiem od Susie...

- Susie. Opowiedz mi o niej.

- Twoja siostra była fantastyczna. Kiedy na linie przeniesiono ją ze śmigłowca do łodzi, postanowiła usiąść, żeby patrzeć, jak podnoszą ciebie. Jak zorientowała się, że zemdliałaś, odzyskała siły, chociaż miała absolutne prawo sama stracić przytomność. Siedziała na dziobie i wrzeszczała na nas, żebyśmy sprowadzili innych lekarzy. Twierdziła, że ja jestem za bardzo zaangażowany emocjonalnie, żeby się tobą zająć. Domagała się, żeby specjaliści czekali na nas już na przystani... Kirsty się uśmiechnęła. Taka była kiedyś jej siostra. Apodyktyczna, pewna siebie, panująca nad każdą sytuacją.

Jak dobrze znowu cię widzieć, Susie.

- Dziecko naprawdę jest zdrowe?

Jake się rozpromienił.

- Rose jest cudowna. Obydwie śpią teraz na sąsiednim oddziale. W tym samym pokoju co Angus, który powiedział, że nie pojedzie do Sydney, dopóki nie będzie miał pewności, że wyzdrowiejesz. Między łózkami jego i Susie stoi inkubator z Rose.

- Inkubator?

- Chcemy mieć absolutną pewność, że jest jej ciepło. Na wszelki wypadek, bo mała jest zdrowa jak rybka.

- Co z Kennethem?

- Już teraz musisz wiedzieć?
- Tak.
- Niedobrze.
- Mów.
- Zobaczyliśmy go, kiedy płynęliśmy do waszego Zęba. Angus naprowadził nas na ten trop. Policjant, który mi towarzyszył, wezwał przez telefon posiłki, więc kiedy Kenneth wpłynął do przystani, czekał na niego liczny komitet powitalny.
- Został aresztowany?
- Zawrócił na pełne morze. Ruszyły za nim kutry rybackie oraz łódź straży ekologicznej. Płynęli za nim w pewnej odległości przez co najmniej pół godziny, czekając, aż skończy mu się paliwo. Wiedzieli, że Kenneth jest chory. - Zawiesił głos.
- Co było dalej?
- Jeszcze raz zawrócił do brzegu. Wszyscy myśleli, że wyskoczy na ląd i zacznie uciekać. Ale w ostatniej chwili na pełnych obrotach... Ta łódź jest wyjątkowo szybka... Skierował ją prosto na skały. Nie miał szansy...
- Mój Boże...
- Choroba psychiczna czyni straszne spustoszenie - powiedział ze smutkiem. - Tak mało wiemy na ten temat. Może gdybym był młodszy, wybrałbym psychiatrię.
- Ale wtedy Dolphin Bay nie miałaby najlepszego doktora pod słońcem.
- Wróćmy do mojego pytania. Doszedłem do wniosku, że Dolphin Bay potrzebuje drugiego lekarza. I ty nim jesteś, Kirsty. Kocham cię tak mocno...
- Nie możesz mnie kochać.
- Jak to?
- Bo ty nie chcesz kochać.
- Chcę. Teraz już chcę.
- Złożyłam ci kuszącą propozycję. Prowokowałam cię.
- Zrobiłaś to bardzo taktownie. Ale chodziło ci tylko o pocałunek. - Wyprostował się. - Moja propozycja idzie znacznie dalej. Proszę cię o rękę, Kirsty, ale nie zamierzam cię ponaglać.

- Nie mogę pozbierać myśli - szepnęła, walcząc z bólem.

Jake musnął wargami jej czoło.

- Dam ci zaraz coś, co znowu pchnie cię w ramiona Morfeusza, a jak się obudzisz, zaczniemy od nowa. Teraz o wszystkim zapomnij. O tym, że nie skorzystałem z twojej propozycji, że ci się oświadczyłem.

Zapomnij też o tym, że boisz się śmierci swoich najbliższych. Teraz śpij.

Dotrzymał słowa.

Przez kilka tygodni, gdy Kirsty powoli dochodziła do siebie, ani razu nie napomknął o małżeństwie.

Wraz z Angusem została przewieziona śmigłowcem do szpitala w Sydney, ponieważ jej popękane żebra wymagały interwencji chirurga.

- Miałaś szczęście, że to płuco nie zostało przebite - zauważył Jake, oglądając wraz z nią zdjęcia rentgenowskie.

Do szpitala dzwonił rzadko, jak przystało na lekarza zainteresowanego losem swojej pacjentki.

Do Dolphin Bay wróciła po tygodniu, również z Angusem, któremu wszczepiono bajpas. Mimo że nadal nie rozstawał się z butlą z tlenem, tryskał energią i radością życia.

Miał do kogo wracać. Do Susie.

Susie z kolei telefonowała do szpitala codziennie, żeby dzielić się z Kirsty szczęściem macierzyństwa. Radowało ją również to, że gdy pozbyła się brzemia ciąży, jej problemy z chodzeniem wyraźnie zmalały.

Ledwie Kirsty zjawiała się w zamku, natychmiast została zaprowadzona do ogrodu.

- Jake codziennie uzupełniał kroplówkę - poinformowała ją Susie. - On jest rewelacyjny.

- Ciągle tu mieszka?

- Wyprowadził się dzisiaj rano. - Susie zerknęła na siostrę kątem oka. - Powiedział, że ty i Angus potrzebujecie spokoju, więc zabrał dziewczynki i Borisa.

Margie przysłała nam do pomocy swoją siostrę, która tu zostanie, dopóki nie nabierzemy sił.

Czyli niedługo, pomyślała Kirsty, obserwując siostrę, która krzątała

się przy dziecku, żartowała z An-gusem, komenderowała nim, komenderowała Kirsty.

Poród, zamiast pogрузić Susie w jeszcze głębszej depresji, czego Kirsty obawiała się najbardziej, zdecydowanie ją z niej wyciągnął.

- Kiedy Jake tu przyjedzie?

- Powiedział, że będzie dziś wieczorem, a także codziennie, dopóki możemy go potrzebować. Zwłaszcza Angus.

Przyjechał późnym popołudniem. Spędził w pokoju Angusa pół godziny, potem zszedł na dół do Susie i Kirsty. Uśmiechał się do niej ciepło. Jednak takim samym uśmiechem obdarzył Susie oraz maleńką Rose.

Odprowadzając go, chciała mu podziękować, lecz on ujął jej dłonie i ją pocałował. Bardzo delikatnie. Jej zdaniem za delikatnie. Słusznie, bo to jeszcze nie czas, pomyślała. To nic, że Susie umiera z ciekawości. Niech czeka.

Należałoby wysłać rezygnację do hospicjum, ale ona jeszcze nie podjęła ostatecznej decyzji. Zadzwoiła jednak do Roberta i mu zasugerowała, by poszukał sobie innej przyjaciółki.

- Szkoda - powiedział - bo łączyła nas prawdziwa przyjaźń.

Ale znalazłam coś więcej, pomyślała. W dalszym ciągu bała się do tego przyznać nawet przed sobą samą.

Wolała nie myśleć o przyszłości

W miarę jak wracały jej siły, kilka razy przyjmowała pacjentów w przychodni, odwiedzała Mavis.

Staruszka podobnie jak Susie nie zadawała pytań, ale wyczuwało się, że jej bystry umysł pracuje na pełnych obrotach.

Kirsty wiedziała, że szczęście jest tuż-tuż, ale nie wolno go ponaglać.

Potem odbył się dożynkowy festyn. Dla Dolphin Bay było to wielkie święto trwające dwa dni. Otwierał je Angus.

Przygotowywał się do tego przez kilka dni.

- W zeszłym roku nie byłem na otwarciu, bo miałem zapalenie płuc. Ale w tym roku nie odpuszczę, choćbym miał paść - oświadczył.

O mało tego nie wykrakał. Zakładał swój paradny szkocki strój przez bite dwie godziny, co skończyło się tym, że musiał na jakiś czas się położyć. Zaszedłszy do niego, Kirsty zobaczyła, że ledwie oddycha i nie

jest podłączony do tlenu.

- Jeśli sobie wyobrażasz, że nieboszczyk będzie w stanie otworzyć ten festyn, to się grubo mylisz - zauważyła, podając mu tlen wbrew jego protestom.

- Pan na Loganaich nie może okazać słabości, pokazując się publicznie z rurką w nosie - zzymał się, gdy owijała pojemnik z tlenem szalem w szkocką kratę.

- Pan na Loganaich nie opuści tego pokoju bez swojego lojalnego towarzysza w stosownym stroju.

- Jesteś tak samo apodyktyczna jak twoja siostra.

- Susie jest bezkonkurencyjna.

- Susie zostaje w Dolphin Bay - oświadczył Angus, nie kryjąc zadowolenia. - Obiecała mi. A ty? - Nie odpowiadała, poprawiając szal na butli z tlenem. - Zwlekasz z decyzją - szepnął. - Na co czekasz?

- Chcę mieć pewność.

- On ją ma. Nie każ mu czekać w nieskończoność. Co cię powstrzymuje?

- Przez tyle lat byłam niezależna... Ale teraz jestem bardzo szczęśliwa.

- Boisz się, że jak zdecydujesz się na ten krok, to stracisz to, co osiągnęłaś?

- Śmierć mojej matki rozbiła naszą rodzinę - zaczęła. - Rodzice bardzo się kochali, ale gdy umarła, tata... się poddał. Potem Susie straciła głowę dla Rory'ego, a kiedy zginął, sama była bliska śmierci.

- I dlatego na ten krok się nie zdecydujesz.

- Zrobię go. - Wiedziała, że to nieuchronne.

- To bardzo trudna decyzja - westchnął. - Ale na tym polega życie.

Kocha się, ryzykując utratę ukochanej osoby, albo się nie kocha i od razu jest się stratnym. Moje życie z Deirdre było wspaniałe, a zostały mi z tego plastikowe żyrandole i królowa Wiktoria w łazience, ale niczego bym nie zmienił. Przeżyłem czterdzieści lat z moją Deirdre, a teraz moje serce należy do małej Rose. - Otarł łzy. - Koniec lamentowania. Ale ty, moja droga, ryzykujesz, zwlekając.

Nie będzie zwlekała.

Wystarczy powiedzieć „tak”.

Na festyn pojechali jej pożyczonym samochodem: Angus, Susie oraz mała Rose. Spike jechała w przy-czepce.

Na miejscu spotkali Jake'a z bliźniaczkami, które natychmiast musiały im opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się przez kilka minionych dni. W trakcie tej chaotycznej wymiany zdań Kirsty przez cały czas czuła na sobie spojrzenie Jake'a. Nie, on na nią nie patrzył. On z nią był. Musi zrobić ten krok. Kocha go, więc wystarczy powiedzieć „tak”.

Po marszu wykonanym przez najprawdziwszą szkocką orkiestrę Angus wygłosił przemówienie przerywane salwami śmiechu i hucznymi brawami.

Prawdziwy hrabia, pomyślała wzruszona Kirsty.

Ile mu zostało?

Włóknienie płuc zabija. Niedługo...

Nie teraz. Popatrzyła na Jake'a, który ją obserwował. Spojrzała mu prosto w oczy. Niedługo.

Konkurs na największą dynię był jednym z pierwszych punktów programu. Na dany znak Kirsty i Jake przy akompaniamencie okrzyków podziwu przenieśli Spike'a z przyczepki na stół sędziowski.

- Spike wygra - szepnęła.
- Dzięki cudownej metodzie doktor McMahon -uśmiechnął się Jake.
- Czy kroplówki są tu może zakazane? Jak doping w sporcie?
- Obcieliśmy łądygę. Dowód winy gnije na kompoście. Wątpię, żeby wynaleziono badanie dyniowego moczu.

Szum wśród zebranych zwiastował nadejście konkurenta Spike'a. Czy ta dynia jest jeszcze większa?

- Czyja to...? - Ledwie Kirsty otworzyła usta, zza dyni wyłoniła się znajoma głowa.

Ben Boyce.

- Cześć, Angus!
- Ty... ty... - Przez chwilę wydawało się, że Angus dostanie apopleksji. Lecz po chwili bladość na jego twarzy ustąpiła miejsca zdrowej czerwieni oburzenia. - Ty zdrajco!

- Dlaczego? - zapytał niewinnie Ben. - Ja wyhodowałem swoją dynię, a ty swoją. Co w tym widzisz złego?

- Pomagałeś mojej dyni!

- Pomagałem. - Ramię w ramię z Benem kroczyła Margie. -
Niesportowo byłoby nie pomóc. - Położył dynię na wadze. - Ma na imię
Fatso. I jest bardziej żarłoczna niż twoja Spike.

- Podawałeś jej kroplówki!

- Jasne. Patrzyliśmy, co robi doktor Kirsty. Nie zapominaj, że moja
Margie jest pielęgniarką. To pani doktor należą się moje podziękowania.
Kirsty zachichotała. Poczowała nagle, że Jake obejmuje ją w talii.

- Fatso wygra - powiedziała Susie, sadzając Rose na dyni Bena. -
Angus, bardzo jest ci przykro?

- Oczywiście. - Patrzył na Bena spode łba. - Drań. Na dwadzieścia
konkursów pokonał mnie ósmy raz. Odegram się za rok.

Za rok. Kirsty zamruwała. Oto człowiek, który kilka tygodni temu
wybierał się na tamten świat.

- Umowa stoi. - Ben promieniał. - Butelka twojej najlepszej
szkockiej przeciwko sernikowi mojej Margie, że znowu wygram.

Gdy staruszkowie podawali sobie dłonie, ktoś zawołał, że pora na
wyścigi w workach. Mam z córkami. Powstało wielkie zamieszanie.

Ręka Jake'a zsunęła się z jej talii. Podeszedł do Alice i Penelope, które
podziwiałały dynie.

- Chodźcie, panienki, poszukamy lemoniady. Kirsty przez chwilę
przyglądała się przygotowaniom. Zorientowała się, że jest to odmiana
popularnego wyścigu, polegająca na tym, że matka i córka biegną w
jednym worku.

Były tam bardzo wiekowe matki i niemal tak samo leciwe córki.
Jedna matka miała trzy córki, druga aż pięć! Ze zdumieniem dostrzegła
Mavis w wózku inwalidzkim. Obok jakaś kobieta wycinała w wielkim
worze otwory na koła, a Barbara i dwie wnuczki Mavis już się
szykowały, by do niego wejść.

- Hej, ja też tak mogę! - ucieszyła się Susie, która również
skorzystała z wózka, ponieważ trzymając małą na rękach, miała kłopoty
z równowagą. - Ja też jestem matką! Jak Mavis może, to ja też.

- Komu, komu? - Szczękając wielkimi nożycami, stanęła przed nimi
pani Grey z poczty. Zamaszystym ruchem wycięła dwie dziury. -
Zobaczysz, Susie, ty i Rosie wszystkich zakasujecie.

Kirsty ruszyła, by im pomóc, ale stanęła w pół kroku, bo wokół Susie

już zebrała się grupka pomocników. Rozejrzała się. Zauważyła, że pod pretekstem szukania lemoniady Jake opuszcza teren festynu. Żeby dziewczynki nie zadawały kłopotliwych pytań.

Ich opuszczone ramionka świadczyły wymownie, jak bardzo są nieszczęśliwe, że ominie je taka atrakcja.

A gdyby je zawołała?

Dlaczego nie? To jest początek jej nowego życia.

- Alice! Penelope!

Odwróciły się. Wszyscy się odwrócili.

- Chcecie się ścigać ze mną w jednym worku? Dla nikogo nie było tajemnicą, co to znaczy. Cale

Dolphin Bay kochało doktora Jake'a i od lat czekało na tę chwilę.

- Nie jesteś naszą mamą - odparła rezolutnie Alice.

- Nie jestem, ale taki wyścig to superzabawa. Mogę być waszą mamą w nagłych wypadkach...

Nawet Susie wyglądała na wstrząśniętą. Nie tylko ona siedziała z otwartymi ustami. Chwilę później rozległy się oklaski.

Bliźniaczki wyrwały się Jake'owi i puściły pędem do worka przygotowanego przez Bena. Ustawily się w worku, podciągając go pod brodę.

- Ty między nami - zdecydowała Penelope.

- To jest bardzo odpowiednie miejsce dla matki odezwała się za jej plecami Susie. - Wskakuj, Kirsty.

Na nic się nie oglądaj.

Rząd worków przeróżnych kształtów ciągnął się przez cały plac. Rozpiętość wieku zawodniczek wahała się od maleńkiej Rose do schorowanej Mavis. Matki wszystkich kształtów i rozmiarów.

- Do biegu... gotowi... Start!

Ruszyły. Skakały, biegly, toczyły się na wózkach, potykały. Matki i córki. Nawet cztery pokolenia w jednym worku. Mężczyźni dopingowali je i udzielali im rad. Kirsty i bliźniaczki miały kłopoty z koordynacją.

- Musimy podskakiwać w tej samej chwili - powiedziała, gdy po raz trzeci się przewróciły.

Czołówka też nie miała łatwo, ponieważ na swojej drodze trafiała na różne przeszkody, na przykład na sforę rozbawionych psów, wśród

których znalazł się także Boris! Byłą triumfatorkę maratonów i jej córkę sprinterkę zatrzymał miejscowy kowal, który przydeptał im worek i odskoczył dopiero, gdy je wyprzedziła jego żona z córkami.

Skaczemy! Skaczemy! - wrzeszczały bliźniaczki. - Tato, zobacz, jak skaczemy!

- Prędeż, prędeż! - ponaglała je Kirsty. - Bardzo dobrze nam idzie. Jej też się uda. Na pewno.

Zająły osiemnaste albo dziewiętnaste miejsce, ale chwalebnie zmieściły się w środku stawki. Gdy jak reszta zawodniczek wyplątywały się z worka, czyjś donośny głos oznajmił:

- Zwyciężyła Susie i Rosie!

Drugie miejsce zajęła Mavis z Barbarą i wnuczkami. Dwa wózki inwalidzkie.

Triumfowały nie tylko te załogi.

Kirsty leżała na ziemi, przytulając bliźniaczki Jake'a, a nad nimi skakał Boris. Czy można odnieść większy sukces?

Jake pomagał jej wyplątać się z worka, dziecięcych rączek i nóżek, psich łap. Ze śmiechem przygarnął ją do siebie i pocałował.

- Tato, nie wygrałyśmy - pożałowała się Alice.

- Nie wygrałyśmy, ale skakałyśmy bardzo wysoko - pochwaliła się Penelope.

- Nie szkodzi, że nie wygrałyście. Za rok będziecie miały drugą szansę - pocieszał je podejrzanie rozedrganym głosem.

Objął Kirsty i pocałował ją na oczach całego Dolphin Bay, które miało stać się częścią ich życia. Na zawsze.